

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.— 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 11 czerwca 1910. Nr. 24.

Dramat w hotelu.

(Treść na str. 2).



Nr. 24. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Wspaniały most. — Cesarz w anektowanych prowincyach. — Jubileusz generała. — Nowy prezydent Wenezueli. — Jubileusz profesora Pareńskiego. — Wypadek węgierskiego awiatora. — Brak wody w Krakowie. — Nowy dyrektor magistratu we Lwowie. — Przeniesienie relikwii. — Zgon węgierskiego literata. — Ukraińskie „Siczowe święto".

☞ Katastrofa łodzi podwodnej. Straszny wybuch prochu w Przemyślu. ☜

Dramat w hotelu.

(Do illustracyi tytułowej).

Wstrząsający dramat, zakończony śmiercią dwojga młodych osób, rozegrał się w ostatnich dniach w Warszawie, w jednym z tamtejszych hoteli. W hotelu owym zajmował od pewnego czasu pokój podporucznik 40 p. p. Teodor Nikolskij z Łodzi. Odwiedzała go tam codziennie pewna młoda, przystojna kobieta.



Fot. Bahrynowicz i Stetkiewicz, Lwów.
Nowy dyrektor lwowskiego magistratu: Mianowany dyrektorem starszy radca Karol Jakubowski.

Młodych ludzi łączył niewątpliwie stosunek miłości, miłości jednak beznadziejnej, gdyż owa kobieta była zamężną. Postanowili więc oboje wspólną zginąć śmiercią. W tym celu zeszli się jeszcze raz w pokoju Nikolskiego i tam zażyli trucizny, ponieważ jednak jad powoli działał, przyspieszyli koniec strzałami z rewolweru.

Służba hotelowa nie wiedziała zupełnie, iż w pokoju, zajmowanym przez oficera Nikolskiego, leżą dwa trupy. Odkryto dramat dopiero wówczas, gdy do hotelu przybył brandmistrz straży ogniowej Fedot, który z listu Nikolskiego do swej żony dowiedział się, że Nikolski nosi się z desperackimi zamiarami. Na jego też żądanie otwarto pokój i znaleziono oboje młodych ludzi bez życia, leżących na dwóch łóżkach.

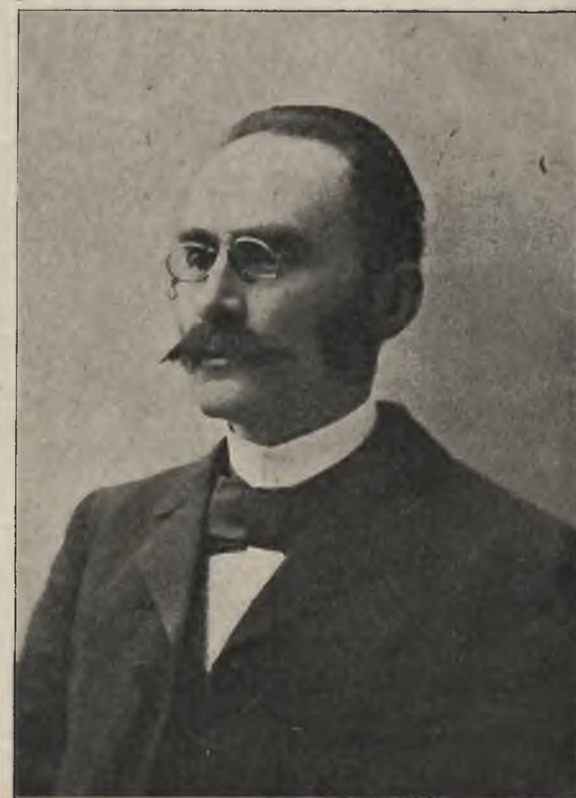
O pobudkach, które popchnęły kochanków do samobójstwa, dowiedziano się z listów, pozostawionych przez denatów. Pobudką tą była nieszczęśliwa, choć wzajemna miłość. Kobieta owa nazywała się Emilia Galler, a liczyła 26 lat. Mieszkała również w Łodzi.

Nasza rycina na stronie tytułowej przedstawia chwilę znalezienia zwłok samobójców w pokoju hotelowym.

Nowy dyrektor lwowskiego magistratu.

Na naczelnem stanowisku lwowskiego magistratu nastąpiła w tych dniach zmiana. Po wysłużeniu 37 lat ustąpił dyrektor magistratu p. Edmund Lukas, a miejsce jego zajął starszy radca p. Karol Jakubowski.

Ustępujący dyrektor cieszył się niezwykłą sympatyą i uznaniem. Rada miejska, przyjmując jego prośbę o przeniesienie w stan spoczynku, uchwaliła wyrazić mu pełne uznanie i szczere podziękowanie za długoletnią i pełną poświęcenia dla dobra gminy, znakomitą działalność. P. Lukas wstąpił do służby w listopadzie 1873 r., pracował w kilku departamentach, a przez sześć lat był kierownikiem biura prezydyalnego. Posiadał też gruntowną znajomość wszystkich spraw miejskich, wyborną rutynę i praktyczne wykształcenie, oraz głęboką znajomość ustaw politycznych, trafny a objektywny sąd, przytem pomimo nader ujmującego, grzecznego i nadzwyczaj taktownego obejścia z interesowanymi, miał niezwykłą energię i konsekwencyę w działaniu, wreszcie odznaczał się nieskazitelnym charakterem. To też kiedy w r. 1902 opróżniła się posada dyrektora, p. Lukas zdobył tę najwyższą godność, jaką osięgnąć może i zdobyć gorliwy urzędnik magistratu. W niedzielę 31 maja w sali ratuszowej zgromadzili się urzędnicy magistratu i prezydyum miasta i pożegnali ustępującego dyrektora przez usta seniora wśród



Nowy dyrektor lwowskiego magistratu: Ustępujący dyrektor Edmund Lukas.



Jubileusz profesora Pareńskiego: Uczestnicy uroczystości wraz z jubilatem profesorem dr. Stanisławem Pareńskim (X) w pośrodku. W pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej: prof. Dobrowolski, prof. Wicherkiewicz, prof. Pieniążek, rektor J. Łazarski, prof. jubilat, dyrektor szpitala Krzyszkowski, ks. kanonik Drohojowski, prof. Reiss i prof. Żuławski.

urzędników magistratu, starszego radcę Hobgarskiego i prezydenta miasta p. Ciuchcińskiego. P. Lukas żegnał też z żalem wszystkich i dziękował za wszelkie dowody uczucia sympatyi.

Nowy dyrektor p. Jakubowski jest to postać również sympatyczna i ceniona z powodu zalet charakteru, talentu i gorliwości służbowej. Wstąpił do służby w czerwcu 1877 r. jako praktykant konceptowy, po odbyciu z celującym skutkiem praktyki sądowej. Jako dziecko Lwowa, syn mieszczanina, ukochał to miasto i pragnął jego rozwoju, to też na stanowisku swojem dał tego dowody. Jako zdolny prawnik rozwiązywał nieraz zawiłe kwestye z pożytkiem dla gminy. Powierzano mu odpowiedzialne stanowiska, z których wywiązywał się znakomicie. Pracował w kilku departamentach, był też długie lata szefem biura prezydyalnego i wysoko cenił godność swego zawodu. Dziś, gdy stanął na czele magistratu, będzie bezwątpienia sprawiedliwym dla wszystkich podwładnych szefem i jedynie wzgląd na zasługi i osobistą kwalifikacyę będzie u niego decydującym czynnikiem w ocenianiu pracy powierzonych mu pracowników lwowskiego magistratu.



Fot. M. Münz, Lwow.
Przeniesienie relikwii: Relikwiarz z relikwiami bł. Jakóba Strepy, niesiony przez duchowieństwo.

Jubileusz profesora Pareńskiego.

Obchód trzydziestopięciolecia, spędzonego na stanowisku prymaryusza oddziału chorób wewnętrznych przez profesora Stanisława Pareńskiego, wypadł wspaniale.

W południe dnia 1 czerwca zebrali się w pięknie udekorowanej sali wykładowej kliniki dermatologicznej prymaryusze, lekarze, słuchacze medycyny i urzędnicy szpitala. Przybyło nadto grono byłych



Fot. M. Münz, Lwów.
Przeniesienie relikwii: Wyższe duchowieństwo w procesyi.

sekundaryuszy i uczniów profesora. Wśród hucznych oklasków wprowadził jubilata dyrektor szpitala dr. Krzyszkowski, który zagajając uroczystość, odczytał pismo galicyjskiego Wydziału krajowego, wyrażające profesorowi Pareńskiemu gorące podziękowanie za trzydziestopięcioletnią, tak skuteczną pracę. W dalszym ciągu swej przemowy podniósł dr. Krzyszkowski zasługi jubilata na różnych polach pracy obywatelskiej i zakończył życzeniem, by z równą energią mógł długie jeszcze lata pracować z korzyścią dla chorych, lekarzy i kraju. Następnie przemówił nader serdecznie profesor Pieniążek, wręczając dr. Pareńskiemu imieniem lekarzy szpitala piękny portret. Z kolei imieniem młodszej generacyi lekarzy zabrał głos sekundaryusz szpitala dr. Habicht, wskazując kolegom osobę jubilata za przykład, jakim powinien być lekarz, by mógł kiedyś o sobie powiedzieć: byłem dobrym synem swego kraju i ojczyzny. Jako dar jubileuszowy wręczono profesorowi Pareńskiemu kwotę około pięciu tysięcy koron, przeznaczoną na zawiązek funduszu zapomogowego jego imienia dla niezamożnych ozdrowieńców, opuszczających szpital św. Łazarza.

Do łez wzruszony przemówił czcigodny Jubilat, dziękując serdecznie za te wszystkie objawy uznania i wyrażając wdzięczność za tak pochlebną ocenę przeszło czterdziestoletniej pracy. Obowiązki swe spełniał sumiennie, jak każdy człowiek powinien i nigdy za to takiego uznania się nie spodziewał. Zaszczyt, jaki go w tym dniu spotkał, przypisuje szczęściu, które mu w życiu towarzyszy.

Obecni składali następnie osobiste życzenia, poczem nasz fotograf redakcyjny zrobił zdjęcie.

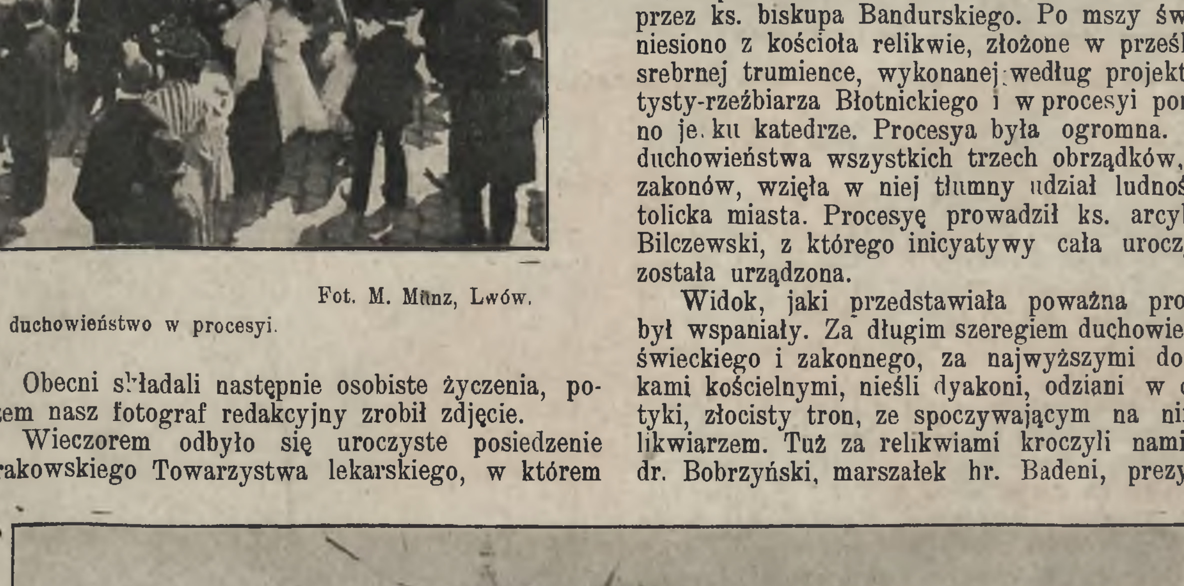
Wieczorem odbyło się uroczyste posiedzenie krakowskiego Towarzystwa lekarskiego, w którem wzięli udział prawie wszyscy krakowscy lekarze i wielu przybyłych z prowincyi. Prezes radca dworu Wicherkiewicz podniósł jeszcze raz zasługi jubilata, a profesor Wachholz odczytał adres Wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. Ciechanowski po stosownej przemowie wręczył dedykowany prof. Pareńskiemu zeszyt Przeglądu lekarskiego, poczem zabierali głos jeszcze inni mówcy i odczytano mnóstwo nadeszłych telegramów. Na zakończenie jubileuszu odbyła się wspólna wieczerza w pięknej sali domu lekarskiego przy udziale przeszło dwustu osób.

Przeniesienie relikwii.

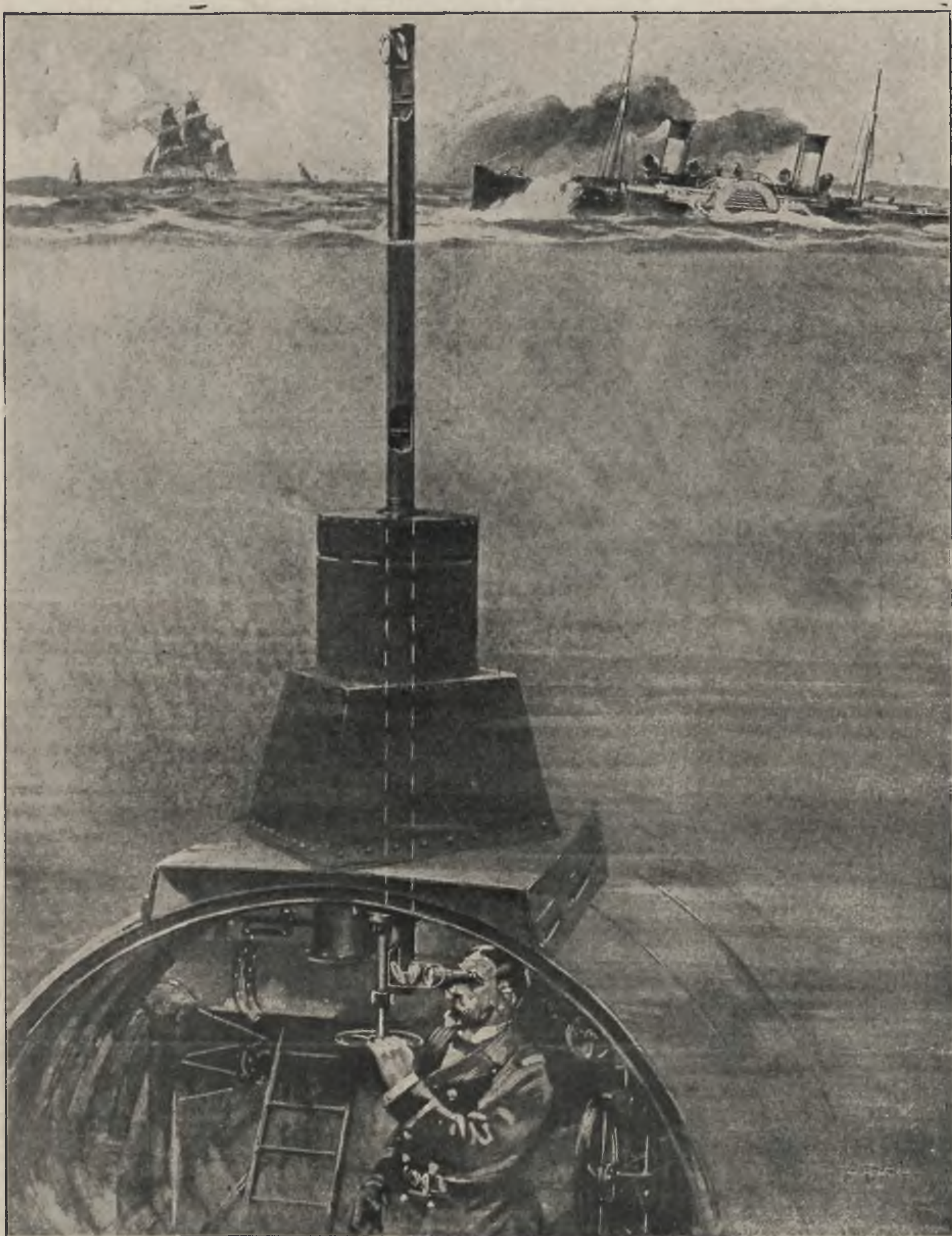
Podniosła uroczystość, z wielką urządzona okazałością, odbyła się ubiegłej niedzieli we Lwowie. Nastąpiło mianowicie przeniesienie relikwii bł. Jakóba Strepy z kościoła OO. Franciszkanów do katedry łacińskiej.

Ceremonie rozpoczęły się nabożeństwem o 8 rano, odprawionem w kościele OO. Franciszkanów przez ks. biskupa Bandurskiego. Po mszy św. wyniesiono z kościoła relikwie, złożone w prześlicznej srebrnej trumience, wykonanej według projektu artysty-rzeźbiarza Błotnickiego i w procesyi poniesiono je ku katedrze. Procesya była ogromna. Prócz duchowieństwa wszystkich trzech obrządków, prócz zakonów, wzięła w niej tłumny udział ludność katolicka miasta. Procesyę prowadził ks. arcybiskup Bilczewski, z którego inicyatywy cała uroczystość została urządzona.

Widok, jaki przedstawiała poważna procesya, był wspaniały. Za długim szeregiem duchowieństwa świeckiego i zakonnego, za najwyższymi dostojnikami kościelnymi, nieśli dyakoni, odziani w dalmatyki, złocisty tron, ze spoczywającym na nim relikwiarzem. Tuż za relikwiami kroczyli namiestnik dr. Bobrzyński, marszałek hr. Badeni, prezydyum



Katastrofa łodzi podwodnej: Zatopiona łódź podwodna „Pluviose“.



Katastrofa łodzi podwodnej: Komendant łodzi, obserwujący pod wodą ruch statków na powierzchni morza.

miasta, towarzystwo strzeleckie, oraz cechy i stowarzyszenia ze sztandarami.

O godzinie 10 procesya stanęła w bramie kościoła katedralnego. Tu odprawił ks. arcybiskup Bilczewski sumę pontyfikalną, w czasie której ks. arcybiskup Teodorowicz wygłosił porywające kazanie. Na zakończenie odbyły się popołudniu nieszpory, w których uczestniczyło również mnóstwo pobożnych.

Uroczystość przeniesienia relikwii bł. Jakóba Strepy, znakomitego członka zakonu Franciszkanów i arcybiskupa lwowskiego, wypadła nadzwyczaj wspaniale i na uczestnikach wywarła głębokie, niezatarte wrażenie. Przyczyniła się do tego także piękna pogoda, która pozwoliła w procesyonalnym pochodzie wziąć udział tysiącom ludności miasta Lwowa.

Katastrofa podwodnej łodzi.

Całym światem wstrząsnęła przerażająca wiadomość o zatonięciu podwodnej łodzi francuskiej *Pluviose*, odbywającej ćwiczenia w zanurzaniu w Cálais. Jest to katastrofa jedna z największych, jaką zapisały kroniki marynarki francuskiej, całą bowiem załogę, liczącą 3 oficerów i 22 żołnierzy od pierwszej chwili uważano za straconą. Akcya ratunkowa, którą natychmiast przedsięwzięto, nie przyniosła rezultatu; nurkowie, którzy usiłowali dotrzeć do zatopionej łodzi, powrócili z wiadomością, że w głębi natrafili na gwałtowny prąd, uniemożliwiający zbliżenie się do niej.

Za przyczynę katastrofy uważają bądź otwór, powstały przy zderzeniu się z parowcem handlowym *Pas de Cálais*, odpływającym właśnie do Dovru, bądź też eksplozyę benzyny na pokładzie, niezależnie od zderzenia. *Pluviose* zatonęła w chwili, gdy usiłowała przepłynąć pod parowcem, odbijającym właśnie od brzegu. Komendant parowca, który nie mógł wiedzieć, kiedy i w którem miejscu wynurzy się łódź na powierzchnię, nie ponosi winy, natomiat oficer, kierujący łodzią podwodną, Callot, posiadający instrukcyę co do obserwowania statków, znajdujących się na powierzchni morza, najprawdopodobniej fałszywie obliczył czas odpłynięcia parowca i to wywołało katastrofę.

Gdy parowiec naprzeciw przylądku *Blanc Nez* odczuł silne wstrząśnienie, zatrzymano go, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co mogłoby być powodem. Dopiero po chwili dostrzeżono przód łodzi, wynurzający się z wody. Po chwili zaczęła tonąć. Z parowca odczepiono łódź i wysłano na pomoc, zanim się jednak zdołała zbliżyć do łodzi podwodnej, ta zniknęła już w toni morskiej. Najprawdopodobniej *Pas de Cálais* przodem ugodził w tylną część łodzi podwodnej i poprostu ją rozciął.

Nareszcie po kilkunastu dniach pracy udało się przyholować *Pluviose* do wybrzeża i wyciągnąć na mieliznę. Zaszedł jednak nowy wypadek, który spowodował przerwę w robotach. Fala rzuciła jeden ze statków holowniczych na łódź podwodną i statek ten przedziurawiony, stał się niezdatnym do dalszych robót.

Zgon węgierskiego literata.

Piśmiennictwo węgierskie poniosło bolesną i ciężką stratę. Zmarł bowiem przed paru dniami jeden z najwybitniejszych współczesnych literatów węgierskich, Koloman Mikszath, ceniony z powodu niezwykłych zalet pióra nowelista i humorysta, autor bardzo długiego szeregu doskonałych utworów, zawsze przez Węgrów z zapałem czytywanych.

Mikszath urodził się 1849 r. w miejscowości Szklabonya w północnych Węgrzech a po ukończeniu nauk poświęcił się pracy na roli. Wnet jednak wrodzone zdolności literackie popchnęły go na właściwą drogę. Mikszath oddał się zawodowi dziennikarskiemu, a równocześnie tworzył swe pyszne obrazki i historye wiejskie, przedstawiając w nich z ogromnym talentem życie węgierskich oraz słowackich chłopów. Utwory jego cechuje szczere umiłowanie ziemi ojczystej, wolne są jednak od wszelkich cech szowinizmu. Cechuje je dalej nadzwyczaj pogodny światopogląd i swojski, naturalny humor.

Ceniono też Mikszata ogromnie, a dowodem sympatyi, jaką go otaczano, był jubileusz jego czterdziestoletniej działalności literackiej, obchodzony przed paru zaledwie tygodniami. Tem bardziej też przykre i bolesne wrażenie wywarła wiadomość o zgonie jego.

Zdjęcie nasze przedstawia pogrzeb zwłok zmarłego literata węgierskiego.



Fot. Janos Müllner, Budapeszt.

Zgon węgierskiego literata: Pogrzeb Kolomana Mikszatha.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

5 (Ciąg dalszy).

— Tego nie wiem, jak i tego również, w którym pokoju zbrodnia została spełnioną; i tego także nie odgaduję, jakim, prawdziwie cudownym sposobem, winny zdołał ujść.

— Mówiono o dwóch niebieskich karteczkach.

— Tak — jedną znaleziono w szkatułce, którą Lupin odesłał, drugą ja znalazłem, a pochodzi ona prawdopodobnie z safianowej koperty, którą morderca ukradł.

— No i cóż?

— Podług mnie one same nic nie znaczą. Znaczy zaś coś cyfra, którą na obu pan Kesselbach wypisał... poznano jego pismo.

— I cóż znaczy ta cyfra 813?

— To tajemnica. Muszę jeszcze raz odpowiedzieć, że ostatecznie nic nie wiem.

— Nie domyślasz się pan czego?

— Niczego. Dwóch moich ludzi mieszka w Palace-Hotel, w jednym z pokoi na tem samem piętrze, na którem znaleziono zwłoki Chapmana. Przez nich mam nadzór nad wszystkimi mieszkańcami hotelu. Winny nie znajduje się w liczbie tych, którzy opuścili hotel.

— Zdaje się, że telefonowano w czasie spełnienia zbrodni?

— Tak jest. Ktoś z miasta telefonował do majora Parbury; jest to jedna z czterech osób, które mieszkają od korytarza pierwszego piętra.

— No, a ten major?

— Badałem go i kazałem moim ludziom mieć go na oku; dotychczas nic nie mówi przeciw niemu.

— I w którym kierunku robisz pan poszukiwania?

— O! w bardzo określonym. Mojem zdaniem morderca należy do przyjaciół albo znajomych państwa Kesselbachów. Szedł za ich śladem, znał ich zwyczaje, znał cel pobytu pana Kesselbacha w Paryżu i co najmniej domyślał się ważności jego planów.

— Więc nie byłby to zbrodniarz zawodowy, sądzisz pan?

— Nie! nie! po tysiąc razy nie. Zbrodnię spełniono niesłychanie zręcznie i zuchwale, ale wynikła ona z okoliczności. Powtarzam, w otoczeniu pana i pani Kesselbach należy szukać winnego. Dowodem tego, że morderca pana Kesselbacha zabił Gustawa Bedauda jedynie dlatego, że ten chłopak posiadał papierośnicę, a Chapmana, ponieważ ten o niej coś wiedział. Proszę sobie przypomnieć wzruszenie Chapmana: słysząc tylko opis tej papierośnicy, Chapman domyślał się istoty dramatu. Gdyby ją mógł był zobaczyć, byłby nas objaśnił. Nieznajomy to zrozumiał. A my nie wiemy nic, nic — znamy tylko litery L. i M.

Zastanowił się i dorzucił:

— Jeszcze jeden dowód, który niech będzie odpowiedzią na jedno z pańskich pytań, panie prezydencie. Czy pan myśli, że Chapman byłby poszedł za tym człowiekiem przez korytarz i schody, gdyby go nie był znał?

Gromadziły się fakta. Utwierdzała się prawda lub przynajmniej prawdopodobieństwo prawdy. Wiele jeszcze pozostawało ciemnego i zagadkowego, ale jakżeż wzmagało się światło. Brakło wprawdzie rozeznania motywów zbrodni, ale jakżeż jasno występował cały szereg czynów, spełnionych owego tragicznego ranka!

Zaległo milczenie. Wszyscy milczeli, szukając to argumentów, to zarzutów. Nareszcie Valenglay zawołał:

— Mój drogi panie Lenormand, wszystko doskonale... przekonałeś mnie pan... ale w gruncie rzeczy nie posunęliśmy się ani na krok.

— Jakto?

— Ależ naturalnie. Celem naszego zebrania się nie jest bynajmniej odcyfrowanie częściowo zagadki, którą ani wątpię, prędzej czy później, rozwiążesz pan całą sam — zebraliśmy się tu raczej po to, by uradzić, jak w możliwie najszerszej mierze zadośćuczynić wymaganiom publiczności. A przecież, czy mordercą jest Lupin, czy nie on, czy jest dwóch winnych, czy też trzech, to jednak nie daje nam to ani imienia winnego, ani jego osoby. Publiczność zaś odnosi to zgubne wrażenie, że sprawiedliwość jest bezsilną.

— I jakżeż ja temu mogę zaradzić?

— Otóż właśnie dać publiczności to zadosyćuczynienie, którego się ona domaga.

— Ależ mnie się zdaje, że te wyjaśnienia same wystarczyłyby już...

— To są słowa. Publiczność domaga się czynów. Jedno tylko może ją zadowolnić: aresztowanie...

— Proszę! proszę! Ależ przecież nie możemy aresztować pierwszego lepszego z brzegu!

— Jużby to nawet było lepiej, aniżeli nie aresztować nikogo — roześmiał się pan Valenglay. — No dalej, niechżeż pan dobrze poszuka... Czy pan jest pewien Edwardsa, służącego Kesselbacha?

— Absolutnie... A zresztą nie, panie prezydencie, to byłoby niebezpiecznie... to byłoby śmiesznie... i przekonany jestem, że sam pan naczelny prokurator... Dwie są tylko osobistości, które mielibyśmy prawo aresztować. Morderca... nie znam go... i Arsen Lupin.

— Cóż z tego?

— Nie aresztuje się tak łatwo Arsena Lupin... a w każdym razie potrzeba na to czasu, całego szeregu zabiegów... których dotąd nie zdążyłem skombinować, ponieważ sądziłem, że Lupin się ustatkował... albo, że nie żyje.

Valenglay tupnął nogą niecierpliwie, jak człowiek przywykły do tego, by życzenia jego spełniały się natychmiast.

— A jednak przecież... mój drogi panie Lenormand, potrzeba mi tego... i panu tego potrzeba także... Panu chyba wiadomo, że ma pan potężnych wrogów... i że, gdyby nie ja... Ostatecznie to jest niedopuszczalne, żebyś się pan w ten sposób usuwał w cień... A co pan myślisz o wspólnikach... Przecież tu nie sam jeden Lupin... Jest przecież Marco... jest i ten drugi łotr, który odegrał rolę Kesselbacha i dostał się do piwnic *Credit Lyonnais*.

— Czy ten wystarczyłby panu, panie prezydencie?

— Czyby mi wystarczył! Ależ do licha, wyobrażam sobie!

— No, to niech mi pan da tydzień czasu.

— Tydzień! Ależ ja tutaj nie na dni liczę, kochany panie Lenormand, ale na godziny.

— Ileż mi pan zatem godzin daje, panie prezydencie?

Valenglay wyciągnął zegarek.

— Daję panu dziesięć minut, mój drogi panie.

Szef bezpieczeństwa spojrzał na swój zegarek i spokojnym tonem wygłosił:

— O cztery za dużo, panie prezydencie.

II.

Valenglay spojrzał nań zdumiony.

— O cztery za dużo? Jak pan to rozumiesz?

— Powtarzam, panie prezydencie, że nie potrzeba mi tych dziesięciu minut. Wystarczy mi sześć.

— Wypraszam sobie, panie Lenormand... ten niesmaczny żart.

Szef bezpieczeństwa zbliżył się do okna i dał znak dwom ludziom, którzy przechadzali się na podwórzu gmachu ministeryum.

Powrócił na środek pokoju.

— Panie prokuratorze naczelny, zechciej pan łaskawie podpisać dekret aresztowania na imię Augusta Filipa Dailleron, wiek lat 47. Proszę nie wypełniać rubryki „zawód“.

Otworzył drzwi wchodowe.

— Możesz wejść Gourel... i ty, Diensy.

Wszedł Gourel w towarzystwie inspektora Diensy.

— Masz kajdanki Gourel?

— Są, panie szefie.

Pan Lenormand zbliżył się do p. Valenglay.

— Panie prezydencie, wszystko gotowe. Ale ja najusilniej pana proszę, niech pan zrezygnuje z tego aresztowania. Krzyżuje ono wszystkie moje zamiary; przez to mogą się nie udać, a dla drobnej ostatecznie korzyści, to aresztowanie naraża wszystko.

— Panie Lenormand, zwracam panu uwagę, że masz pan już tylko czterdzieści sekund czasu.

Szef powstrzymał gest rozdrażnienia, przeszedł pokój wzdłuż i wszerz, opierając się na lasce, siadł z miną wściekłą, jak gdyby postanowił milczeć, a potem nagle zdecydował się i przemówił:

— Panie prezydencie, pierwsza osoba, która wejdzie do tego biura, to będzie ta właśnie, której aresztowania pan żądasz... wbrew mojej woli; zależy mi na wyraźnem stwierdzeniu tego.

— Już tylko piętnaście sekund, panie Lenormand!

— Gourel... Diensy... pierwszą osobę... nieprawdaż, panie prokuratorze naczelny, pan był łaskaw położyć swój podpis?

— Już tylko dziesięć sekund...

— Panie prezydencie, proszę niech pan będzie łaskaw zadzwonić.

Valenglay nacisnął dzwonek.

Woźny stanął w progu, czekając.

Valenglay spojrzał na szefa.

— Panie Lenormand, czekają na pańskie rozkazy. Kogo każesz pan wprowadzić?

— Nikogo.

— Ależ gdzież ten łotr, którego przyaresztowanie pan nam obiecałeś? Sześć minut dawno minęło.

— Prawda, ale łotr jest tu.

— Jakto? Nie rozumiem... nikt nie wszedł przecież.

— I owszem. Wszedł.

— Cóż to takiego?... jakież to... Panie Lenormand, pan sobie z nas żartujesz... Powtarzam panu, że nikt nie wszedł.

— A ja panu powtarzam, panie prezydencie, że wszedł ktoś.

— Ależ kto u licha?

— Było nas czterech w tem biurze, teraz jest nas pięciu. Wynika z tego, że musiał ktoś wejść.

Valenglay podskoczył.

— Cóż to? Ależ to szaleństwo!... jak to!... pan chcesz powiedzieć...

Dwaj ajenci wsunęli się pomiedzy drzwi a woźnego.

Pan Lenormand zbliżył się do woźnego, dotknął ręką jego ramienia i przemówił głosem silnym:

— W imieniu prawa Auguście Filipie Dailleron, starszy woźny w prezydenturze ministeryum, aresztuję ciebie.

Valenglay wybuchnął śmiechem.

— A to dobre!... doskonałe... To mu się udało... Ten paradny Lenormand, miewa pomysły! Brawo, panie Lenormand, dawno się tak nie uśmiałem!

Pan Lenormand zwrócił się do naczelnego prokuratora.

— Panie prokuratorze, proszę niech pan nie zapomni wypełnić na dekrecie zawodu tu obecnego Dailleron'a, dobrze? Starszy woźny w prezydenturze ministeryalnej!

— Ależ tak... ależ tak... starszy woźny... w prezydenturze... — bełkotał Valenglay, trzymając się za boki. — Ten poczciwy Lenormand robi genialne odkrycia... publiczność domaga się aresztowania... ot, macie... on jej rzuca na pastwę... kogo?... mojego starszego woźnego... Augusta... wzorowego sługę!... Już to prawda, panie Lenormand, ja wiedziałem, że pan posiadasz sporą dozę fantazyi, ale nie przypuszczałem, ażeby aż do tego stopnia!... Co za pomysł!...

Od początku tej sceny August ani drgnął, zdawało się, że nie rozumie nic z tego, co się naokoło działo. Zdumienie malowało się na poczciwej twarzy o wyrazie lojalnego, wiernego sługi. Spoglądał kolejno po twarzach obecnych, siląc się widocznie na zrozumienie znaczenia ich słów.

Valenglay zbliżył się doń.

— Przepraszam cię bardzo, mój poczciwy Auguście, to mała zabawka, którą sobie urządził pan Lenormand... Pośmiejesz się z nami...

Może i prokurator naczelny, może i prefekt policyi, może i ci także się śmiali. Ale p. Lenormand nie tracił właściwej sobie powagi.

Przemówił coś do Gourel'a, który wyszedł, a potem głośno zwrócił się do Diensy'ego:

— Uważaj, mój kochany i gdyby się tylko poruszył, bierz go natychmiast.

I znowu zwrócił się do pana Valenglay:

— Panie prezydencie, poproszę pana o parę minut uwagi... Niech pan będzie łaskaw usiąść, proszę pana, panie prezydencie... Pozwoli pan, że odemknę trochę okno... tu trochę za gorąco... Dziękuję bardzo, panie prezydencie! A teraz w kilku słowach... Od roku, to jest od czasu, gdy dzięki panu, zajmuję moje stanowisko, traf... a także moje poszukiwania dostarczyły mi materyału, dotyczącego osoby Lupina i dawnej organizacyi jego szajki; nie badałem tych materyałów, ponieważ Lupin siedział cicho, ale zbadałem je i uzupełniłem, od czasu gdy zaszła sprawa w Palace-Hotel i odkąd Lupin stanął znów do walki.

Valenglay siedział, poskramiany spokojem pana Lenormand. Ten zaś mówił dalej.

— Wynika z tych niewątpliwych informacyi, że szajka Lupina składała się — składa właściwie... z dwojakich elementów. Najpierw należą do niej czynni wspólnicy — są oni nieliczni — może ich być z piętnastu albo ze dwudziestu. Są to adjutanci Lupina. Ci podróżują... działają... spełniają czyny... narażają się osobiście. Lupin im powierza, czy też udaje, że im powierza, najtajniejsze swoje zamysły. Dzieli się z nimi ukradzionymi pieniądzmi, łupem—

podobno w ten sposób, że im daje czwartą część, a sobie trzy czwarte zabiera. Jednem słowem są to wspólnicy. Jak się zdaje, Marco jest jednym z nich.

— I August także zapewne? — zaśmiał się drwiąco Valenglay. August, który można powiedzieć, wcale nie opuszcza prezydentury, sypia tu nawet...

— Panie prezydencie, czy wolno mi wezwać drugiego woźnego, który czeka w poczekalni?

Valenglay zadzwonił. Wszedł drugi woźny.

— Potrzebujemy pewnego wyjaśnienia — zwrócił się do niego szef bezpieczeństwa. — Byliście na służbie przez cały ten tydzień?

— Tak, proszę pana, przez cały ten tydzień.

— Nie wychodziliście na miasto we wtorek po południu?

— Nie wychodziłem.

— A wy, Auguście? — zapytał starszego woźnego.

— Ja także nie wychodziłem.

— Ależ owszem — wtrącił się drugi — przypomnijże sobie, Auguście, wyszedłeś na cały dzień!

— Dobrze już, możecie odejść — rozkazał p. Lenormand.

Milczenie zaległo po wyjściu drugiego woźnego. Valenglay przestał się śmiać i uważnie słuchał, co powie szef bezpieczeństwa.

Pan Lenormand wrócił do Augusta i przemówił do niego tonem dobroduszności:

— Widzisz, nic nie poradzisz... jesteś przyłapany... najlepiej jest karty pokazać, kiedy gra przegrana... Cóżeś robił we wtorek?

August starał się bronić.

— Ależ nic szczególnego... ja nie rozumiem... jeden mój przyjaciel z prowincyi przyjechał i poszliśmy razem na przechadzkę.

— Ten przyjaciel nazywał się Marco. Poszliście zaś na spacer do piwnic banku *Crédit Lyonnais.*

— Ja? Co za przypuszczenie!... Marco?... Nie znam nikogo, ktoby się tak nazywał.

— A to, czy poznajesz? — zawołał szef, podsuwając mu przed oczy parę okularów w złotej oprawie.

— Ależ nie... nie... ja nie noszę okularów...

— Owszem, nosisz je wtedy, gdy idziesz do *Crédit Lyonnais* i chcesz uchodzić za pana Kesselbacha. Te oto pochodzą z twego pokoju, z tego pokoju, który najmujesz pod imieniem Hieronima przy ulicy Collisée, numer 5.

— Ja miałbym wynajmować pokój? Sypiam w ministeryum.

— Ale tam się przebierasz, ile razy masz odgrywać twoje role w szajce Lupina.

Woźny przesunął ręką po spoconem czole. Siny był cały. Bełkotał:

— Ja nic nie rozumiem... Pan mówi takie rzeczy... takie rzeczy...

— Czy potrzeba ci czegoś, cobyś lepiej zrozumiał? Ot, przypatrz się, co znaleziono pomiędzy świstkami papieru, które wrzucasz do kosza pod biurkiem twojem, tutaj, w przedpokoju.

I pan Lenormand rozwinął arkusz papieru z nagłówkiem ministeryalnym; na arkuszu w różnych miejscach widne były, jak gdyby ktoś podpisu próbował, dwa wyrazy: Rudolf Kesselbach.

— No i cóż na to powiesz, sługo sprawiedliwy? Co powiesz na te wprawki w podpisywaniu Rudolfa Kesselbacha? Nie jestże to dowód?

Uderzenie pięścią w samą pierś zachwiało go na nogach. Jednym susem August znalazł się przed otwartem oknem, wyskoczył na balkon, a z balkonu na podwórze.

— Do dyabła drogatego! — krzyczał Valenglay — Ach! ten bandyta!

Dzwonił, biegał, chciał wołać przez okno. Pan Lenormand zaś przemówił najspokojniej w świecie?

— Niechże się pan nie alteruje, panie prezydencie.

— Ależ to kanalia... ten August...

— Chwileczkę, bądź pan łaskaw... przewidziałem takie rozwiązanie. Rachowałem na nie... lepiej już chyba przyznać się nie można.

Otrzeźwiony zimną krwią tamtego, Valenglay wrócił na swoje miejsce. W chwilę później wszedł Gourel, prowadząc za kołnierz Augusta Filipa Dailleron, z przydomkiem Hieronima, starszego woźnego w prezydyum ministeryalnem.

— Dawaj go, Gourel! — rzekł pan Lenormand, tak jak się mówi: „daj tu“ dobremu wyżłowi, który w pysku aportuje zwierzynę. Czy dał się wziąć?

— Gryzł trochę, ale ja tęgo ściskałem — odpowiedział inspektor, pokazując wielką swą, kościstą rękę.

— Dobrze, Gourel, a teraz możesz iść.

Gourel poszedł sobie, jak pies, co wraca do budy. Diensy poszedł za nim, a pan Lenormand rzekł do woźnego:

— Zmądrzeliśmy, Auguście Hieronimie, co? Rozumiemy teraz lepiej, nieprawdaż, że położenie jest poważne, nie na żarty? Trochę jeszcze zgrzytamy zębami... ale trudna rada. Stój sobie tam spokojnie Auguście-Hieronimie, twoja obecność jest nam potrzebna.

Valenglay był ubawiony. Śmiejąc się, zacierał ręce Myśl, że starszy woźny jego był wspólnikiem



Jednym susem August znalazł się przed otwartem oknem.

Lupina wydawała mu się ucieszną i pełną ironii przygodą.

Naczelny prokurator i prefekt policyi milczeli, przekonani, wbrew woli, wystąpieniem pana Lenormanda i wszyscy trzej wyglądali z ciekawością, do czego on zmierza.

Pan Lenormand zaczął znowu, wspierając się na kiju, chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju i mówił:

— Pomiędzy wspólnikami Lupina, panie prezydencie, jest druga jeszcze kategorya. Są to członkowie stowarzyszeń, luźniej związani z bandą. Tamci, ściślej mówiąc, nie pracują. Mają oni własne swe zawody, jako to medycynę, różne urzędy, handel, policyę — i to się im właśnie przydaje na usługi Lupina. On ich używa jako przewodników, wskazywaczy i to nie stale, ale od czasu do czasu, o ile ich potrzebuje i stosownie do ich uzdolnień.

Jednego specyalnością jest fałszerstwo pieniędzy, inny przemalowuje np. kradzione automobile, inny jeszcze ma stosunki w świecie antykwarzy, jeszcze inny wpośród księży. I w ten sposób ten oto August jest woźnym w biurach prezydyalnych i specyalistą w fałszowaniu podpisów. Znajdzie pan w pokoju jego na rue Colisée, album, zawierające podpisy kilkuset naszych sławnych ludzi i bogatych bankierów.

— I co z tego wynika, mój drogi panie Lenormand? — przerwał Valenglay.

— To, panie prezydencie, że o ile towarzysze, stanowiący najbliższe otoczenie Lupina, oddani mu są na życie i śmierć, oddani z przywiązania i z uwielbienia i oddani przez własny interes — za to ci drudzy, nie ulegający bezpośredniemu jego wpływowi i oddziaływaniu, otrzymujący zasiłki prawdopodobnie ograniczone, nie biorący udziału w podziale grubego łupu — ci drudzy zapewne są przystępniejsi pokusom... W razie potrzeby można też z nimi wejść w porozumienie... Cóż na to powiesz Auguście?

Woźny ani drgnął.

Pan Lenormand przybliżył się do niego.

— Ile żądasz?

— Za co?

— A widzisz! Zaczynasz rozumieć... Otóż dojdziemy do porozumienia. Słuchaj, masz mi powiedzieć, co wiesz...

— O kim?

— O Lupinie.

— Nie wiem nic.

— Kłamiesz.

— Nie. Nie widziałem go nigdy. Nie znam go.

— Ostatecznie, to możebne. Ale jakim sposobem komunikujecie się z sobą.

Woźny nie odpowiedział.

— A! tak, warunki nie umówione. Czego więc żądasz?

— Wolności.

— Nie gadaj głupstw. Jesteś przyłapany, pójdziesz swoją koleją, tak jak inni i odsiedzisz swoją karę... pięć lat... dziesięć lat... to już nie do mnie należy. Nie, ale myśl o przyszłości... o starości twojej... Gdy stamtąd wyjdziesz, nie wiele z ciebie zostanie... Trzeba będzie żyć... Ile tedy żądasz?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Zwaryowałeś chyba?

— Nie zwaryowałem. Przez Marca dojdziecie do Lupina, a Lupin wart przecież pięćdziesiąt tysięcy.

— Proponuję ci dziesięć i ani grosza więcej.

— Czterdzieści... ani grosza mniej.

— Panie prezydencie, niech pan rozstrzyga.

— Dziesięć tysięcy — rzekł Valenglay — po aresztowaniu Marca, trzydzieści po aresztowaniu Lupina.

— Zgoda — odpowiedział woźny.

— A więc, skoro zgoda — podjął znów pan Lenormand — to gadajże i prowadź otwartą grę... bo w przeciwnym razie... W jakiż się więc sposób znosicie?

— Za pośrednictwem towarzysza.

— A tym jest Marco?

— Tak.

— Gdzie Marco mieszka?

— Tego ja nie wiem.

— Ale możesz go odszukać, jak chcesz?

— Nie. Ile razy mnie Marco potrzebuje, za każdym razem telefonuje do mnie.

— Dokąd?

— Tu, do ministeryum.

— Dobry wybór miejsca. A gdy ty jego potrzebujesz?

— Posyłam do niego list, albo telegram.

— Dokąd?

— Poste restante, ulica Milton.

— Pod jakimi literami?

— T. L. B. N.

— I to jest wszystko, co wiesz?

— Wszystko. Więcej nie wiem nic.

— I uważasz, że to warte pięćdziesiąt tysięcy franków? Masz czoło, mój chłopcze!

— Trzeba tylko, żeby pan kazał czuwać w biurze pocztowem... Marco musi tam co rana zaglądać.

— Dziękuję ci za radę. Gourel! Diensy!

Otworzył drzwi obu ajentom.

— Zawieźcie no mi tego człowieka do aresztu dorożką. I cicho sza! Żeby się dzienniki o tem nie dowiedziały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspaniały most.

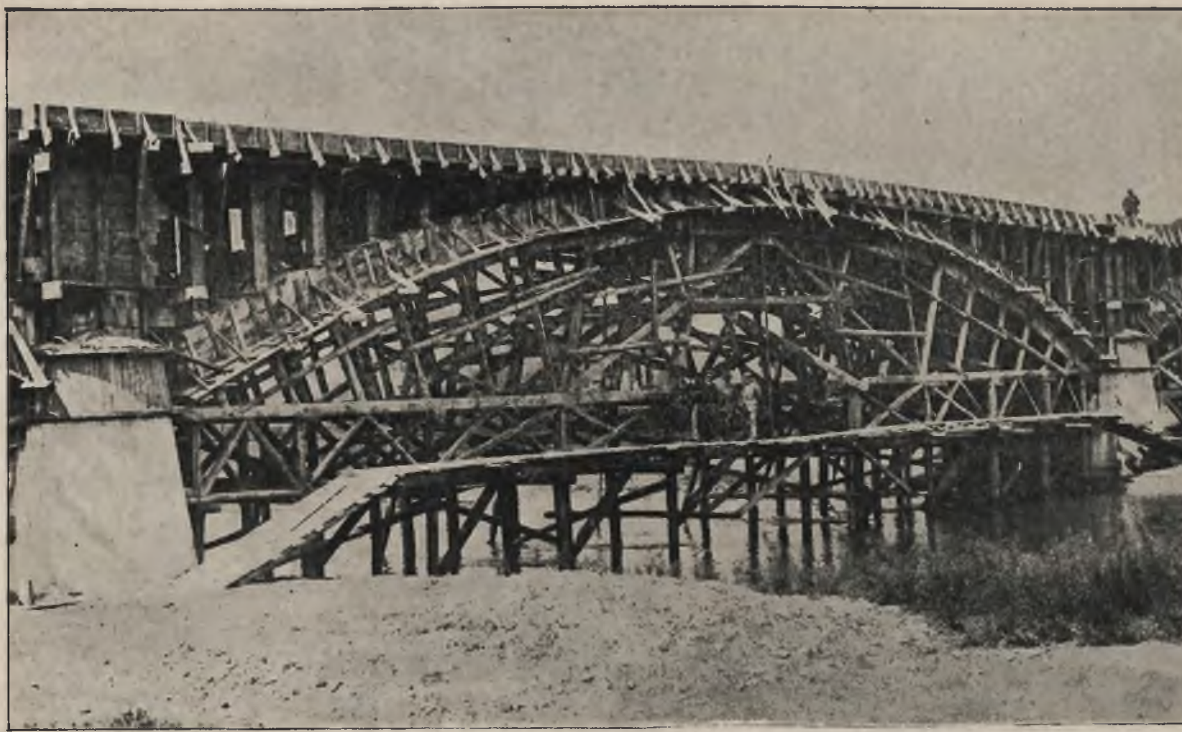
Powiat pilzneński, mimo gęstego zaludnienia i nieeksploatowanych dotąd z braku komunikacyi bogatych pokładów węglowych i wapiennych, nie mógł rozwinąć żadnego przemysłu, z powodu znacznej odległości od kolei żelaznej, która tylko na niewielkiej przestrzeni przechodzi przez północną część powiatu. Wobec tego nadto, że rzeka Wisłoka dzieli powiat na dwie połowy, zdarzało się co roku, że przy każdem wezbraniu wód, mieszkańcy pozostawali odcięci nietylko od miast, gdzie mają siedzibę urzędy, ale nawet kilka gmin, do jednej parafii należących, odciętych było od kościoła parafialnego.

W miejscowościach, gdzie brak kolei żelaznych, jedyną arteryą komunikacyjną dla ruchu ekonomicznego są dobre drogi, to też ludność powiatu pilzneńskiego wnosiła przez lat wiele prośby o budowę jednej z najważniejszych dróg w powiecie oraz budowę mostu na tejże drodze.

Te długoletnie starania gmin i powiatu były jednak przez długi czas bezskuteczne, aż dopiero roku ubiegłego usilnym i energicznym staraniom prezesa pilzneńskiej rady powiatowej, dra Mikołaja hr. Reya udało się uzyskać od rządu i kraju znaczne subwencye, przy których pomocy powiat podjął budowę mostu oraz drogi.

Budowę mostu oddano znanej firmie polskiej Sosnowski & Zachariewicz we Lwowie. Plany mostu według systemu Hennebiqua opracował kierownik działu mostowego firmy, inżynier Ferdynand Stroński, a budowa została w niebywale krótkim, gdyż wliczając i porę zimową, w 7-mio miesięcznym okresie ukończoną, co firmie wspomnianej nie mały zaszczyt przynosi.

Most ten, o długości 170 metrów i 5-ciu przęsłach, stanowi wspaniałe dzieło budownictwa i kultury; zbudowany jest cały z betonu i żelaza kosztem 280.000 koron, prawie wyłącznie miejscowemi siłami.



Wspaniały most: Główne przęsło nowego mostu na Wisłoce pod Pilznem.



Wspaniały most: Personal techniczny, zajęty przy budowie mostu na Wisłoce.

Cesarz w anektowanych prowincyach.

Po całotygodniowym prawie pobycie w granicach Bośni i Hercegowiny, powrócił cesarz Franciszek Józef do Wiednia, uwożąc z pięknej krainy, niedawno do monarchii austryacko-węgierskiej wcielonej, miłe wspomnienia serdecznych powitań i owacyjnego przyjęcia, zgotowanego przez nowych poddanych.

Już cała podróż od Bośniackiego Brodu aż do stolicy kraju była łańcuchem manifestacyi i dowodów lojalności ze strony mieszkańców. Na wszystkich stacyach, przez które pociąg cesarski przejeżdżał, gromadziła się tłumnie odświętnie przybrana ludność i witała cesarza okrzykami „Živio" i powiewaniem chustek. Na kilku większych stacyach zatrzymywał się pociąg przez dłuższą chwilę, a wówczas cesarz wychodził ze swego wagonu i rozmawiał z przedstawicielami danych gmin.

Najwspanialej wypadło przyjęcie w stolicy kraju, w Serajewie. W pobliżu dworca, wzdłuż toru oraz w ulicach, wojsko utworzyło szpaler, dygnitarze zaś zebrali się w pawilonie cesarskim na dworcu. Był tam arcybiskup Stadtler w otoczeniu wyższego duchowieństwa, przedstawiciele innych wyznań, a więc grecko-oryentalnego, protestanckiego, żydowskiego i muzułmańskiego, dalej generalicya, rada miejska, przedstawiciele rozmaitych korporacyi i stowarzyszeń, konsulowie obcych mocarstw i t. d. Wokoło zaś zebrały się tłumy publiczności.

Cesarz przybył ze swem otoczeniem w poniedziałek o 3 po południu do Serajewa. Powitanie na dworcu było bardzo uroczyste i serdeczne, a cesarz po wysłuchaniu powitalnej mowy burmistrza Kulovica, odpowiedział uprzejmem podziękowaniem za dowody lojalności. Następnie otwartym powozem udał się ze swą świtą do konaku, gdzie dlań przygotowano mieszkanie.

W ulicach odświętnie, wspaniale udekorowanego miasta, mnóstwo było publiczności, która na cześć monarchy wznosiła okrzyki.

Pobyt cesarza w Serajewie trwał trzy dni. W czasie tym zwiedzał cesarz najważniejsze budynki miasta, świątynie wszelkich wyznań, między temi słynny meczet begowski oraz starodawną bożnicę.

Jednym z najbardziej oryginalnych momentów pobytu cesarza Franciszka Józefa w Bośni było wesele chłopskie, jakie urządzono wobec cesarza w miejscowości kąpielowej Ilidze koło Serajewa. Zarówno piękne, barwne stroje ludowe bośniackie, jak same zwyczaje i ceremonie, z aktem weselnym połączone, w szczególności prześliczny taniec narodowy „Kolo", podobały się cesarzowi nadzwyczajnie.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Powitanie cesarza Franciszka Józefa na dworcu w Serajewie.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Młoda para oraz nauczyciel Józef Kuric, który urządził uroczystość weselną podczas pobytu cesarza w Bośni.

Z Serajewa udał się cesarz na jeden dzień do Mostaru, gdzie go ludność nie mniej owacyjnie witała i przyjmowała. W sobotę zaś opuścił monarcha granice Bośni i powrócił do Wiednia.

Pobyt cesarza w anektowanych prowincyach będzie miał, zdaje się, pewne polityczne następstwa a mianowicie ogłoszenie Bośni i Hercegowiny królestwem.

Z okazyi pobytu cesarza w tych krajach zamieszczamy dziś szereg interesujących zdjęć.

Jubileusz generała.

Tak popularny niegdyś w Galicyi generał kawaleryi Rudolf Brudermann, obchodził w tych dniach czterdziestoletni jubileusz służby wojskowej.

Urodzony w dniu 9 stycznia 1853 r. w Gyön Gyös na Węgrzech, wstąpił w r. 1869 jako podporucznik do 11 pułku ułanów, a w r. 1874 przydzielony został do sztabu generalnego. W Galicyi bawił jako major sztabu generalnego we Lwowie, pułkownik i brygadyer w Tarnopolu, dywizyoner kawaleryi w Krakowie, wreszcie komendant korpusu we Lwowie. Na wszystkich tych stanowiskach potrafił sobie zjednać uznanie przełożonych, miłość podwładnych i sympatyę cywilnej publiczności, do której odnosił się zawsze z wielką życzliwością. Powszechnie też żałowano, gdy w r. 1906 powołany został do Wiednia, jako następca ś. p. arcyksięcia Ottona, na stanowisko generalnego inspektora austryackiej kawaleryi.

W uznaniu zasług znakomitego generała nie szczędził mu monarcha najwyższych odznaczeń, a dzień jubileuszu czterdziestoletniej służby dał sferom wojskowym sposobność zamanifestowania swych uczuć, jakie żywią względem swego komendanta. Z życzeniami przybyła osobna deputacya, w skład której wchodzili prawie wszyscy generałowie kawaleryi i komendanci austryackich pułków konnicy pod przewodnictwem marszałka polnego arcyksięcia Franciszka Salwatora, komendanta wiedeńskiej dywizyi kawaleryi. Arcyksiążę zwrócił się do jubilata z przemową, w której podniósł jego wielkie zasługi na stanowisku inspektora kawaleryi i wręczył mu złoty medal z napisem: „C. i k. konnica swemu generalnemu inspektorowi“.

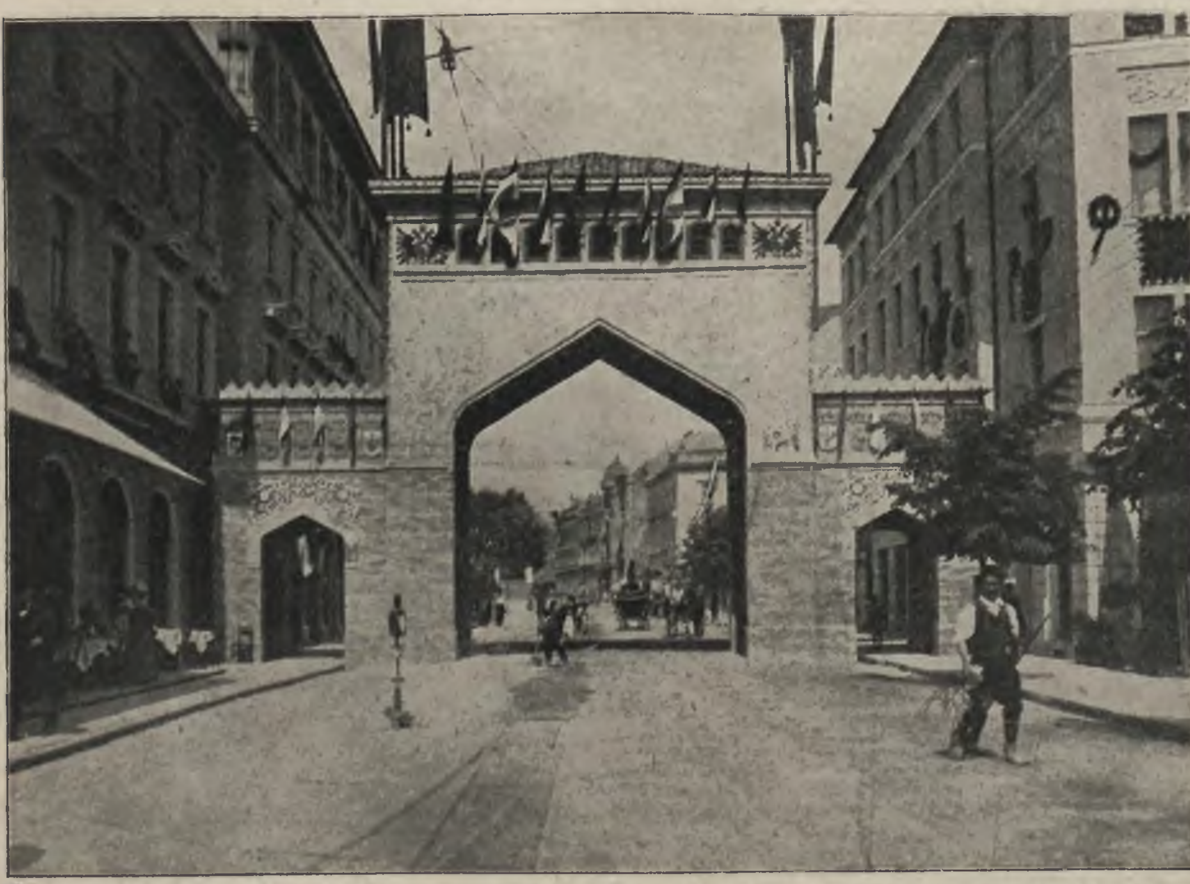
Generał Brudermann podziękował wzruszony za zaszczytne uznanie.

Wybuch prochu w Przemyślu.

Nieostrożność z jednej strony, a nieprzestrzeganie przepisów, odnoszących się do przechowywania materyałów wybuchowych z drugiej, były już niejednokrotnie przyczyną straszliwych katastrof i okropnych nieszczęść. Mimo to bardzo trudno wpoić w ludzi przekonanie o konieczności stosowania się do wydanych w tej mierze przepisów, trudno zapobiedz ich lekkomyślności. To też wypadki, spo-



Cesarz w anektowanych prowincyach: Narodowy taniec „kolo“ w czasie wesela w Ilidze w obecności cesarza.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Starobośniacka brama w jednej z ulic Serajewa.



Jubileusz generała: Generał kawaleryi, Rudolf Brudermann, inspektor austryacko-węgierskiej konnicy.

wodowane nieostrożnością i lekkomyślnością ludzką są bardzo częste.

Ostatnią taką katastrofą był straszny wybuch prochu w Przemyślu, w czwartek ubiegłego tygodnia. Wybuch nastąpił w samo południe w kamienicy kupca Szancera w Rynku. Detonacya była tak silna, że w całem mieście powstała panika, myślano bowiem, że to jakiś kataklizm żywiołowy, trzęsienie ziemi, lub coś w tym rodzaju. Dopiero po chwili zdołano stwierdzić, że w oficynach wspomnianej realności Szancera nastąpiła eksplozya, która zamieniła dwupiętrowy budynek w bezładną kupę gruzów. Front kamienicy ocalał, sąsiedni zaś dom odniósł poważne uszkodzenia.



Wybuch prochu w Przemyślu: Kapitan pionierów Stumpf, który kierował akcyą ratunkową.

Straż pożarna, oddziały pionierów i policya rozpoczęły natychmiast akcyę ratunkową, nie ulegało bowiem wątpliwości, że pod gruzami znajdowali się ludzie. Budynek mianowicie, który uległ katastrofie, był w części zamieszkany, a to na I. i II. piętrze, a tylko w parterze mieścił się magazyn firmy Szancera.

Przemyśl cały jest pod wrażeniem okropnej katastrofy, jakiej w tem mieście dawno nie było. Wokoło zawalonego domu gromadzą się tłumy publiczności, komentując wypadek i biadając nad strasznem nieszczęściem.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Cesarz ze swą świtą przed starodawną bożnicą w Serajewie.

W magazynie był olbrzymi skład kawy i herbaty oraz innych towarów kolonialnych. Nadto był w tym magazynie skład prochu strzelniczego. Proch mieścił się w żelaznej skrzyni. Wedle twierdzenia właściciela magazynu, prochu było nie więcej, niż 10 klgr. Wybuch spowodowali dwaj chłopcy sklepowi Maryan Wenzel i Stanisław Pursa, którzy zeszli do magazynu i nieostrożnie obchodzili się z ogniem. Obaj oni padli oczywiście ofiarą wybuchu. Ponadto straciła życie stróżka domu, A. Czerpanikowa, której zwłoki znaleziono zupełnie zmiażdżone i zeszpecone. Że więcej osób nie zginęło, zawdzięczać należy tylko szczęśliwej okoliczności, iż mieszkania w oficynie były w owej chwili puste.

Rannych jest kilkanaście osób, przeważnie wskutek uszkodzeń, spowodowanych odłamkami szkła. Siła wybuchu była bowiem tak wielka, iż we wszystkich okolicznych domach powylatywały szyby.

Akcyę ratunkową prowadziła straż pożarna pod kierunkiem p. Olszewskiego i 3 kompanie pionierów pod kapitanem Stumpfem. Ciężką pracę prowadzono ze znajomością rzeczy i w nadzwyczajnym porządku przez cały dzień i w nocy przy świetle pochodni i reflektorów elektrycznych. Musiano naprzód odsunąć i wywieść ogromne masy gruzów, zanim zdołano dotrzeć do magazynu. Dopiero nad ranem wydobyto z piwnicy zwłoki sprawców a równocześnie pierwszych ofiar katastrofy, owych dwóch praktykantów sklepowych.

Szkoda, wyrządzona przez straszną katastrofę, dochodzi razem do 200.000 koron.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Wybuch prochu w Przemyślu: Widok piwnicy, gdzie nastąpił wybuch.



Wybuch prochu w Przemyślu: Ogólny widok wnętrza kamienicy kupca Szancera po katastrofie.

Nowy prezydent Wenezueli.

Biedna Wenezula, której tak dały się we znaki rządy osławionego prezydenta Castro, odetchnie może, gdy na jej czele stanął Jan Wincenty Gomez, człowiek nadzwyczaj zdolny i popularny w całym kraju. Od czasu wyjazdu Castra do Europy, jak twierdzono „dla poratowania zdrowia“, kongres poruczył Gomezowi prowizoryczne kierowanie sprawami państwowemi, a obecnie zamianował go definitywnym prezydentem na okres sześcioletni.

Jan Wincenty Gomez urodził się w San Anto-



Wybuch prochu w Przemyślu: Akcya ratunkowa pionierów i straży pożarnej. Fot. M. Todt, Przemyśl.

nio w r. 1859. Młodzieńcze lata spędził w rodzinnych stronach, zajmując się gospodarstwem rolnem. Jako trzydziestodwuletni mężczyzna rozpoczął karyerę polityczną, stając przy boku Castra, który wówczas był gubernatorem stanu Tachira. Razem z nim walczył przeciw legalistom, gdy zaś wyprawa się nie udała, obaj przyjaciele schronili się do sąsiedniej Kolumbii. Tymczasem gospodarka prezydenta Andrade sprzykrzyła się Wenezuelczykom. Z tego skorzystał Castro i przedsięwziął wyprawę wojenną przeciw własnej ojczyźnie. W r. 1889 widzimy go dyktatorem w Carracas. Objąwszy rządy, nie zapomniał o przyjacielu Gomezie, którego przezorności zawdzięczał właściwie zwycięstwo i zamianował go gubernatorem. Na nowem stanowisku zjednał sobie Gomez nadzwyczajną popularność, jako uczciwy, dzielny i co w Wenezueli rzadko się zdarza, nieprzekupny urzędnik. Gdy generał Matos rozpoczął kroki nieprzyjacielskie przeciw Castrowi, Gomez staje znów przy boku prezydenta i ratuje go w bitwie pod Wiktoryą. Castro wraca jako zwycięsca do stolicy, Gomez otrzymuje polecenie ścigania nieprzyjaciela i uspokojenia kraju. Od tego czasu zmieniają się stosunki. Widząc coraz bardziej rosnącą popularność Gomeza i bojąc się jego współzawodnictwa, poczyna go Castro coraz bardziej szykanować. Gomez odpłacił mu równą miarką, a miał po temu dość sposobności, tymczasem bowiem wybrano go wiceprezydentem.

Dotychczasowa działalność Gomeza każe się spodziewać, że pod jego rządami wrócą w Wenezueli normalne stosunki, zwłaszcza że udało mu się już uporządkowanie spraw zagranicznych, które groziły ciągle wybuchem wojny z sąsiedniemi państwami.

Wypadek węgierskiego awiatora.

Rownocześnie z wiadomościami o nadzwyczajnych wynikach, osiągniętych w ostatnich dniach przez awiatorów wszelkich narodowości, nadchodzą też wiadomości mniej pomyślne o rozmaitych wypadkach, jakich ofiarą padają odważni zdobywcy powietrza.

Obecnie uwaga wszystkich interesujących się żeglugą napowietrzną skierowana jest na Budapeszt, gdzie odbywa się *meeting* awiatyczny, przy współudziale najwybitniejszych współczesnych awiatorów. *Meeting* poprzedziły loty próbne, w czasie których dzielny i znany awiator węgierski Aladàr Zselyi, uległ bardzo przykremu, nieszczęśliwemu wypadkowi. Zdobył on niedawno za swój lot nagrodę



Nowy prezydent Wenezueli: Następca Castra, Jan Wincenty Gomez.

5000 koron, wnet jednak potem, wzniósłszy się ponownie w górę, spadł wraz z maszyną z wysokości przeszło 25 mtr., przyczem statek jego rozbił się prawie zupełnie, a on sam odniósł szereg poważnych uszkodzeń. Wskutek tego oczywiście nie będzie mógł wziąć udziału w lotach konkursowych *meetingu*.

Nieszczęśliwy wypadek węgierskiego awiatora nie powstrzyma, rzecz naturalna, ani jego samego, ani innych od dalszych prób i doświadczeń, nie wpłynął też wcale ujemnie na *meeting* budapeszteński, który zdobył odrazu ogromne powodzenie i jest ogromnie ożywiony. Rezultaty zaś, jakie już w pierwszym dniu osiągnięto, dowodzą ogromnego postępu w dziedzinie awiatyki, postępu dającego się stwierdzać niemal z dnia na dzień.



Fot. Janos Müller, Budapeszt.

Wypadek węgierskiego awiatora: Inżynier Aladàr Zsélyi.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

2

— Sullivan mówił mi o tobie. Co za dziwne spotkanie! A więc już jesteś doktorem! Ty sam chyba nie wiesz, jak młodo wyglądasz! Przecież ja mogłabym być twoją matką.

— Oj, co to, to nieprawda! — Tyle przynajmniej umiałem powiedzieć.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

— Ja osobiście — ciągnęła dalej — nie cierpię muzyki, przyznaję, nie znoszę jej. Ale to przecież rzemiosło Sullivana, więc musimy tutaj bywać.

Okrytem klejnotami ramieniem ukazała ożywioną, świetną publiczność widowni.

— Ale chyba Emmelino — broniłem — ten pierwszy akt nawet tobie musiał sprawić przyjemność. Ja bo niczego podobnego w życiu nie słyszałem. Roza była poprostu — no trudno... ja tego opisać nie umiem.

Popatrzyła na mnie i chmura melancholii zasnuła jej oczy. Po chwili rzekła bardzo dziwnym tonem i bardzo spokojnie:

— Ty się w niej już zakochałeś.

Patrzyła mi prosto w oczy.

— Któż się jej oprzeć może — roześmiałem się. Nachyliła się ku mnie.

— Kobiety takie, jak Rozetta Roza, powinno się zabijać! — przemówiła z dziwną zażartością. Jej bogaty, głęboki kontralt przebiegł po mnie dreszczem. Znów była podniecona, to było widoczne. Nerwowy nastrój ją ogarnął. Uszy jej poczerwieniały, obfity biust falował. Przeląkłem się, więcej nawet, strach mnie ogarnął. Cóż to za dziwna kobieta! — pomyślałem w duchu.

— I dlaczegóż to? — zapytałem z cicha.

— Bo nazbyt młode są, nazbyt piękne, nazbyt niebezpieczne! — odpowiedziała z dzikiem uniesieniem. — A już Roza w szczególności — gdybyś wiedział to, co ja wiem, gdybyś widział to, co ja widziałam...

— Co ty widziałaś, powiedz!

Byłem zupełnie oszołomiony. Zacząłem żałować, że Sullivan pozostawił mnie z nią sam na sam.

— Może się mylę — roześmiała się.

Roześmiała się i siadła znów prosto i znowu przybrała wykwintne pozory światowej, modnej damy, podczas gdy ja starałem się zachować, jak gdyby mnie nic szczególnego w obejściu jej nie uderzyło.

— Czy już słyszałeś o naszem przyjęciu? — zapytała żywo po chwili, bawiąc się wachlarzem.

— Niestety, muszę przyznać, że nie.

— Gdzieżeś ty był, Karolu?

— W Edynburgu byłem — rzekłem — składałem ostatni egzamin.

— Och! — rzekła — przecież wszystkie pisma to już anonsowały. Sullivan daje przyjęcie w Złotych Pokojach Wielkiego Babylońskiego hotelu. Naturalnie w znacznej części będą tam sfery teatralne. Sullivan musi utrzymywać stosunki z ludźmi tej sfery, pojmujesz... z zawodowych względów... Ale będzie tam także bardzo dużo ludzi z dobych rodzin. Przyjdziesz także, prawda? Odbędzie się to dla uczczenia pięćsetnego przedstawienia Mojej Królowej. I Rozetta Roza będzie też.

— Będzie mi bardzo miło... Ale sądziłem, że nie poprosisz Rozy, po tem, co przed chwilą mówiłaś.

— Nie poprosić Rozy!... Mój drogi Karolu, ona poprostu nigdzie nie chce bywać! Wiem na pewno, że odmówiła zaproszenia Lady Casterby, która chciała jej przedstawić księcia krwi królewskiej. Sir Cyryl zdobył ją dla mnie. Ona będzie gwiazdą całego widowiska... najwyższą atrakcyą wieczoru...

Przyćmiono znów światła w teatrze. Orkiestra zaczęła preludium do drugiego aktu.

— Czy próbowałeś kiedy patrzeć w kulę kryształową? — szepnęła Emmelina.

Ktoś z parteru syknął, upominając o ciszę. Potrząsnąłem głową.

— Musisz spróbować.

Głos jej wskazywał, że znowu wzrasta w niej podniecenie.

— Tam na mojem przyjęciu będzie pokój, specyalnie przygotowany do spirytystycznych doświadczeń. Ja należę do wierzących, jak ci wiadomo...

Skinąłem głową uprzejmie i wychyliłem się z loży, chcąc obserwować kapelmistrza. I ona siadła spokojnie, by wysłuchać muzyki. Natychmiast po skończeniu drugiego aktu Snllivan wrócił, prowadząc ze sobą niskiego, drobnego, łysego człowieka, lat około pięćdziesięciu. Kończyli właśnie rozmowę o jakiejś sprawie, za sceną związanej.

— Smart, pozwól, że ci przedstawię mego krewnego, Karola Fostera Karolu — Sir Cyryl Smart.

Zdziwiłem się zrazu, że człowiek tak sławny, może być tak nieznaczącym z pozoru. Ze spojrzenia jego jednak można było wyczuć, że to inteligencya o niezwykłym poziomie. Zrazu mówił mało i zwracał się przedewszystkiem do żony mego kuzyna, ale w mowie jego był jakiś spokój i jakaś siła, robiąca wrażenie. Sir Cyryl miał małe oczy i drobne na ogół rysy, przytem wąskie czoło. Jednakże dobrze zarysowona linia jego nozdrzy, wąskie, ścięte usta i kwadratowa broda, świadczyły o charakterze stanowczym i energicznym. Wyglądał znużony, zmęczony i udręczony, jednakże nie zdawał się skarżyć na swój los, lecz raczej przyjmować go z ironicznym humorem. Troski operowego sezonu i trzech innych teatralnych przedsiębiorstw ciężko na nim zaważyły, ale on ze stoizmem znosił ten ciężar.

— Co się dziś stało Alresce? — zapytał Sullivan. — Przypuszczam, że cierpi męki zazdrości.

— Alreska — odpowiedział Sir Cyryl — Alreska to najwspanialszy tenor naszych czasów, a dzisiaj śpiewa, jak śpiewak z *Variétés*. Ale to nie zazdrość tego przyczyną. Jest w Alresce coś takiego, że czasami wątpić zaczynam, czy Alreska jest w istocie artystą; on jest niezdolny do zazdrości! Znałem setki śpiewaków, a to pomiędzy nimi jedyny ptak tej barwy. Nie, to nie zazdrość!

— A więc cóż innego?

— Radbym sam wiedzieć. Zaprosił mnie dzisiaj do siebie na obiad. Wiecie, że jada o czwartej. Poszedłem naturalnie. I czy zgadniecie, czego chciał odemnie? Doprawdy, zaproponował, bym zmienił afisz dzisiejszy! Z tego poznałem, że rzeczywiście musi mu coś dolegać, gdyż jest to najskromniejszy i najuprzejmiejszy człowiek, jakiego znam i nigdy nie robi zawodu publiczności. Zapytałem go więc, czy nie ma przypadkiem chrypki, lub może czuje się chory? — Jestem zdrów zupełnie — odrzekł mi — a jednak... — urwał. — A jednak co? Myślałem, że nic z niego nie wydobędę. Potem jednak nagle powiedział mi: — Mój drogi panie Smart — rzekł — nieszczęście mi grozi. Ja to czuję. — Ot tyle powiedział. „Nieszczęście mi grozi“. „Ja to czuję“. Zabobonny jest i zabobonui są oni wszyscy. Naturalnie starałem się go uspokoić. Robiłem, co mogłem. Mówiłem, jak zwykle, że to zapewne pochodzi z wątroby. Ale mniejszy to miało skutek, niż zwykle. Bądź co bądź wyperswadowałem mu, żeby odemnie nie żądał odwołania przedstawienia.

Pani Sullivanowa wmieszała się do rozmowy.

— Czy on czasami nie kocha się w Rozie? — zapytała porywczo.

— Czy on się nie kocha w Rozie? Naturalnie, że się nie kocha, moja droga!

Żona zmierzyła męża jakimś gniewnym wzrokiem, a Sullivan rozpaczliwie strzepnął rękami.

— Czy kocha się? — powtórzyła pani Smith, czekając na odpowiedź Smarta.

— Nigdy mi to na myśl nie przyszło — odpowiedział Sir Cyryl poprostu. — Nie, myślę, że nie, z pewnością nie... A zresztą być może. Nie wiem. Ale gdyby nawet, to to nie powinnoby być powodem jego przygnębienia. Nawet Rozie powinnoby pochlebiać uwielbienie takiego człowieka, jakim jest Alreska. Zresztą, o ile ja wiem, zbyt mało się widywali. Za kosztowni są oboje, by często razem śpiewać mogli. Ja jeden tylko i Conried w Nowym Jorku drugi, możemy sobie pozwolić na zbytek umieszczenia ich razem na jednym afiszu. Zdaje mi się, że co najwyżej ze dwa czy trzy razy śpiewali razem od czasu śmierci lorda Clarenceux; tym sposobem, nawet gdyby on jej okazywał miłość, nie miała chyba jeszcze czasu odrzucić jego miłości — jak myślicie?

— Jeżeli okazywał miłość swoją Rozie — rzekła pani Smith powoli — to, czy mu odmówiła, czy nie odmówiła, zawsze to dla niego nieszczęście i tyle.

— O wy kobiety, wy kobiety! — uśmiechnął się Sullivan. — Jak wy się między sobą kochacie!

Pani Smith nie raczyła nawet odpowiedzieć małżonkowi.

— A niech mi wolno będzie powiedzieć — dodała — że o ile ja wiem, to okazywał jej swą miłość.

W tej chwili urwała się rozmowa, a wtedy ja, chcąc tym wszystkim wielkościom pokazać, że i ja coś wiem, ośmieliłem się zapytać, co z całą tą sprawą ma wpólnego lord Clarenceux, o którego bogactwach i ekscentrycznościach wieść nawet do gazet szkockich dotarła.

— Lord Clarenceux był potajemnie zaręczony z Rozą w Wiedniu — odpowiedział Sir Cyryl. Będzie temu lat dwa i pół. Wkrótce potem umarł. Był to dla niej straszny cios. Myślałem nawet, że to przejście przyczyniło się do tego nieporozumienia, jakie zaszło między nią a mną.

— Jakżesz się to właściwie miało z tem waszem poprzeczaniem się? — zapytał Sullivan. — Ja znam tylko początek, a Karol nawet tego nie zna. Nieprawdaż, Karolu?

— Nie znam — szepnąłem skromnie. — Ale to może tajemnica stanu?

— Broń Boże — odpowiedział Sir Cyryl, zwracając się do mnie. — Słyszałem Rozę po raz pierwszy w Genui. Budynek Opery tam, to jeszcze gorsza buda, niż tu, a i scena jeszcze gorsza. Roza miała lat dziewiętnaście. Naturalnie, poznałem odrazu, że będzie to kiedyś wielki los mojego życia. W biegu mojej karyery odkryłem jedenaście gwiazd, ale to było słońce. Zaangażowałem ją więc odrazu i ukazała się tutaj zaraz w czerwcu. Śpiewała dwanaście razy i... to zresztą wiadomo, jaką wywołała sensacyę. Ofiarowałem jej wtedy dwadzieścia funtów za wieczór i była tem wprost zachwycona. Po skończonym sezonie ofiarowałem jej po dwieście funtów za wieczór na rok następny; ale wtedy poznała się z lordem Clarenceux i odpowiedziała mi, że się namyśli. Nie chciała podpisać kontraktu. Mam zasadę „Nigdy się nie trapić“, a jednak trapiłem się. Oprócz samej sobie, mnie zresztą zawdzięczała wszystko. Pojechała do Wiednia wywiązać się z przyjętego *engagement*, a lord Clarenceux pojechał za nią. Ja też pojechałem za nimi. Widziałem się z nią i starałem się o ułożenie warunków tak, ażeby jej dogodzić. Miałem przeróżne trudności z primadonnami, już Bóg wie, ile razy... Tak, ja mam doświadczenie. Roześmiał się sarkatycznie.

— Myślałem, że będę wiedział, jak mam postąpić. Zazwyczaj każda primadonna miewa albo ulubionego psa, albo ulubioną papugę. Soprany zwykle lubią psy, kontralty papugi. Studyowałem te miłe zwierzęta i przekonałem się, że jeśli już nie inaczej, to przez nie do pań ich trafić można. W pięciu językach umiem przemawiać do pudli, a karmić cukrem ptaki umiem, jak nikt inny. Ale Roza nie ma żadnych ulubieńców. Po tygodniowych pertraktacyach dałem za wygraną. Była grzeczna i wdzięczna za to, co dla niej uczyniłem, ale nie pozwoliła wpływać na swoje postanowienia. A poza tem wszystkiem jest coś dziwnego w tej Rozie, coś, czego nie potrafiłem zgłębić. Nie jest ona dziecinną, jak większość śpiewaczek. Ma swoją upartą wolę, zupełnie tak, jak ja... słowo w słowo, tak jak ja...

Przerwał i zamyślił się.

— No i jakże ostatecznie zeszliście się znowu? — pytał ciekawie Sullivan.

— O, przez jakiś czas nie zaszło nic nowego. Śpiewała w Paryżu i Ameryce i zajęła należne sobie miejsce jako pierwsza sopranistka świata. Obszedłem się bez niej i dałem sobie radę. W tym roku wczesną wiosną przysłała do mnie swojego ajenta i oferowała mi, że zaśpiewa dziesięć razy za cenę trzech tysięcy funtów. One nie mogą obejść się bez Londynu, pani to rozumie. Dobry jest Nowy Jork, dobre jest Chicago, jeśli chodzi o pieniądze, ale jeżeli nie śpiewają w Londynie, ludzie pytają się, dlaczego? Rad byłem z tej oferty, udawałem jednak, że mi się nie spieszy. Roza ograniczała swój repertuar dotychczas do francuskich oper, to też odpowiedziałem, że Londyn nie zniesie wyłącznie francuskiego repertuaru i zaproponowałem, aby na pierwszy występ wybrała Lohengrina. Zgodziła się. Cena jest trochę wysoka, ale już się nie spierałem. Nie lubię się targować. Ma teraz lat dwadzieścia dwa, albo trzy; za parę lat zażąda pięciuset funtów za wieczór i będę musiał zapłacić.

— A jakżeż pana przywitała?

— Z tą samą chłodną grzecznością. I mniej ją rozumiem, niż kiedykolwiek.

— Ona pewnie nie jest Angielką — wtrąciłem.

— Angielką! — wykrzyknął Sir Cyryl. — Nikt nigdy nie słyszał o wielkim angielskim sopranie! Chyba, że pan zaliczy Australię do Anglii, ale Australia nie będzie panu wdzięczną. Nie! Ale to także jej tajemnica. Nikt nie wie, skąd się wzięła. Mówi równie doskonale po angielsku, jak po francusku. Włoski jej akcent jest bardzo piękny. Po niemiecku mówi płynnie, ale źle. Mówiono mi, że doskonale mówi po flamandzku — to ciekawe, ale nie wiem, czy to prawda.

— No, dobrze — rzekł Sullivan, kiwając głową — weźmy teraz gwiazdę teatralną w przeciwieństwie do operowej gwiazdy. I ta jest kapryśna i ta jest tajemnicza, ale, Bogu dzięki, przynajmniej grzeczna nie jest... przynajmniej te z teatru Liana. Z temi można mówić prosto z mostu i bez ceremonii. Tu mi się przypomina ten kostyum Liny w pierwszym akcie „Mojej Królowej“. Naturalnie, będziesz chciał...

— Dajżeż teraz pokój, Sullivanie, nie gadaj o swoich nudnych zawodowych sprawach! — wtrąciła żona.

Odegrano preludium trzeciego aktu, po podniesieniu się kurtyny ukazała się ślubna komnata Elzy i Lohengrina. Sir Cyryl Smart powstał, chcąc wyjść, ale przystanął jeszcze, obejmując okiem scenę, jak wódz pole bitwy z pobliskiego wzgórka. Zdaleka dolatywała muzyka obu zbliżających się pochodów. Przy dobrze znanej nucie ślubnego marsza, damy zaczęły wchodzić z prawej, a rycerze z lewej. Elza ukazała się w otoczeniu swoich kobiet, ale Lohengrina nie było na czele drugiego pochodu. Podwójny chór śpiewał dalej, wnet jednak jakiś niepokój dał się zauważyć na scenie i kapelmistrz zaczął lewą ręką dawać sygnały.

— Smart, co się to stało? Gdzie jest Alreska?— spytał Sullivan.

— Wjedzie w sam czas ze swym łabędziem — odpowiedział Sir Cyryl spokojnie. — Nie niepokój się. —

Sławny impressario zbliżył się do przodu loży i stał teraz bezpośrednio za mojem krzesłem. Serce pod gorsem koszuli zaczęło we mnie bić lękiem. Gdzie się podział Alreska? Przecież to niepodobna, żeby się nie miał pokazać! Ale powinien już być na scenie, a na scenie go nie było. Spojrzałem na twarz Sir Cyryla. Napoleońską była w swej niewzruszoności.

— On przyzwyczajony do takich rzeczy — pomyślałem. Rzecz prosta, drobne usterki muszą się zdarzać czasami. Pomimo to nie mogłem opanować wzruszenia. Ręka Emmeliny konwulsyjnie ściskała poręcz loży.

— Wszystko będzie dobrze — powtarzałem w duchu.

Ale gdy nadeszła chwila, gdy król ma błogosławić parę nowożeńców, a Lohengrin jeszcze się nie ukazywał — nawet niewzruszony Sir Cyryl wydał się niespokojnym. Szepty zaczęły krążyć po widowni. Kapelmistrz jednakże uparcie szedł naprzód, oczywiście nie wątpiąc, że wszystko się dobrze załatwi.

Wkońcu ostatek pochodu zeszedł ze sceny i Elza została samotna. Lohengrin się nie ukazał. Skrzypce doszły do tonu *B minor*, do punktu, gdzie Lohengrin powinien wpadać ze swą pieśnią. Zatrzymały ton ten przez chwilę, wreszcie kapelmistrz opuścił batutę. Odezwał się dzwonek. Kurtyna opadła. Podkręcono światła, publiczność zaczęła rozprawiać. Oglądano się na Sir Cyryla w naszej loży. On jeden wydawał się jedyną nieporuszoną osobą w całej widowni.

— Nic podobnego w życiu mem się nie zdarzyło — rzekł. — Alresca się nie mylił... Coś się musiało wydarzyć. Muszę tam iść.

Nie poszedł jednak. Zauważyłem, że pomimo pozorów niezrównanego spokoju, niebywała katastrofa pozbawiła go zupełnie możności inicyatywy. Nie mógł ruszyć z miejsca. Był unicestwiony.

Drzwi loży ktoś otworzył. Urzędnik z błyszczącym brylantem przy gorsie wszedł spiesznie.

— Co się stało, panie Nolan?

— Pan Alreska uległ przypadkowi, potrzeba doktora.

Losie mojego żywota! Jakże pragnąłem powstać i z odpowiednią godnością oświadczyć: „Jestem doktorem. Czy mogę służyć pomocą?“ Nieśmiałość jednakże ścisnęła mi gardło. Zmilczałem.

— Karol jest doktorem! — przemówił, niespodziewanie dla mnie, Sullivan.

O jakże się zarumieniłem!

— Czy tak? — rzekł Sir Cyryl, wychodząc z swej martwoty. — Nie miałem o tem pojęcia. Będzie pan łaskaw pójść z nami?

— Jak najchętniej! — odpowiedziałem, nadrabiając miną.

Rozdział III.

Gdym wychodził z loży wraz z Sir Cyrylem i panem Nolan, Sullivan zerwał się i chciał iść z nami. Posłyszałem jednakże słowa Emmeliny:

— Sullivanie, zostań tu. Nie zbliżaj się do tej kobiety!

Mówiła gorączkowo i błagalnie. Znowu ogarnęło ją podniecenie. I Sullivan został.

— Czy Berger jest tutaj? — zapytał spiesznie Sir Cyryl Nolan'a.

— Jest, proszę pana.

— Poślij pan kogo po niego. Poproszę go, by wziął rolę Alreski. Będzie ją musiał śpiewać po francusku, ale to nie szkodzi. Zaczniemy od duetu.

— Ale Roza? — zauważył Nolan.

— Roza? Jej się przecież nic nie stało!

— To prawda. Ale jest cała wzburzona.

— Czemżeż znów, u dyabła, wzburzona?

— Tym wypadkiem. Jest zupełnie do niczego. Za nic w świecie nie będzie dalej śpiewała...

— O, do licha! — zaklął Sir Cyryl. A potem dokończył już spokojnie:

— Kiedy tak, to biegnijżeż pan i przemów do nich... Wysuń się, chłopcze, przed kurtynę i powiedz, że to, co zaszło, to wprawdzie nic poważnego, ale jednak udaremnia dalszy ciąg przedstawienia. Przeproś ich, schlebiaj im, odwołaj się do



Roza w całej świetności swego ślubnego stroju podejmowała Alreskę pod ramiona.

ich pobłażliwości i do ich wspaniałomyślnych uczuć... już wiesz...

— Słucham, Sir Cyrylu!

I Nolan przepadł, biegnąc uspokajać publiczność.

Przeszliśmy do końca korytarza. Sir Cyryl otworzył wąskie drzwi na końcu.

— Idź pan za mną — zawołał. — To przejście jest ciemne, lecz zupełnie proste.

Nie było to przejście, był to właściwie tunel. Wydawał mi się długi, nagle jednak rozjaśnił się. Na końcu było kilka schodków. a u stóp tych schodków stał na straży komisarz inwalid, przyozdobiony medalami.

— Gdzie jest pan Alreska? — zapytał Sir Cyryl.

— Za tylnem płótnem, tam, gdzie upadł, panie — odpowiedział, salutując, komisarz.

Pośpieszyłem za Sir Cyrylem i znalazłem się wobec niezwykłego zamieszania i hałasu na olbrzymiej scenie. Wyglądało to, jak gdyby cały personel teatru był tu obecny — tłum z kilkuset osób. Nigdy nie miałem jasnego pojęcia o tem, że tak złożonej ludzkiej maszyneryi potrzeba do wystawienia stosunkowo pojedynczego dramatu muzycznego jakim jest Lohengrin. Bogato strojni paziowie i damy dworu białe, złote, purpurowe mieszały się ze stolarzami i maszynistami w białych rękawach. Chórzyści, lokaje w liberyach, panowie we frakach, członkowie orkiestry z instrumentami pod pachą i dzieci nawet znajdowały się w tłumie. A dokoła wszędzie olbrzymie z drzewa i malowanego płótna dekoracye, sięgały wysoko, gubiąc się w sieci sznurów i drutów. Promienie światła tryskały z niewiadomych źródeł, oświetlając wielkie chmury pyłu; głosy dolatywały gdzieś z wysoka, aż z pod dachu, a z dołu, z podziemi, dochodziło rytmiczne pulsowanie dynamo maszyny. Byłem wprost oszołomiony.

Sir Cyryl przepychał się naprzód, nie mówiąc ani słowa. W samej głębi sceny, prawie wpośrodku, tłum był najgęstszy. Przecisnąwszy się nareszcie, stanęliśmy wobec widoku, który niełatwo zapomnę. Roza w całej świetności swego ślubnego stroju podejmowała Alreskę pod ramiona, tak że szyja jego i głowa opierały się o jej piersi. Spoglądała w twarz rycerza, a łzy z jej oczu spływały na jego czoło.

— Mój biedny Alreska! Mój biedny Alreska!— szeptała raz wraz.

Dokoła tych dwojga stała gromadka pierwszorzędnych postaci — Król, Herold, Ortruda, Telramund i jeszcze kilkoro. Poznałem odrazu, że Alreska jest nieprzytomny.

— Proszę, niech go pani położy.

To były pierwsze słowa, jakie przemówiłem do Rozetty Rozy i z prostego zdenerwowania wymówiłem je szorstko, tonem ostrego rozkazu. Własny głos mnie zadziwił. Spojrzała na mnie i zawahała się. Z pewnością nie była przyzwyczajona do odbierania tak kategorycznych rozkazów.

— Proszę, niech go pani natychmiast położy — powtórzyłem, starając się, bez powodzenia, przybrać ton suchy, spokojny, poważny, czysto zawodowy. — Jest to w najwyższym stopniu niebezpiecznie podnosić z pozycyi leżącej osobę nieprzytomną.

— To lekarz, pan doktór Karol Foster — objaśnił głośno Sir Cyryl; wobec tego Roza natychmiast delikatnie złożyła głowę Alreski na gołych deskach podłogi.

— Proszę, niech wszyscy będą łaskawi odstąpić... chciałbym go zbadać.

Nikt się nie poruszył. Król ciągnął dalej swą królewską inspekcyę leżącej postaci. Ani jeden fałd wspaniałej czarnej szaty Ortrudy nie drgnął. Wtedy Sir Cyryl przetłómaczył prośbę moją na język francuski i niemiecki, a legendarne średniowieczne postacie usunęły się cokolwiek, wtłaczając się z trudem w otaczający je tłum. Rozetta Roza poważnie odstąpiła na bok.

W tej samej prawie chwili Alreska szepnął słabo:

— Moja noga!

Przyklęknąłem. Równocześnie, słysząc głos jego, Rozetta Roza rzuciła się naprzód i przyklęknąwszy tuż obok mnie, ujęła jego rękę. Chciałem jej znowu kazać odejść — lecz język odmówił mi posłuszeństwa; niema prośba jednak moich oczu musiała być wymowną, gdyż podniosła się, skinąwszy mi głową i wyprostowana, milcząca, stanęła trochę opodal. Gwałtownym wysiłkiem opanowywałem wzruszenie i gotowałem się do spełnienia mojej roboty. Z poza grubej kurtyny dolatywał stłumiony głos Nolana i kilka współczujących okrzyków z pomiędzy publiczności... Wkońcu orkiestra zaintonowała hymn narodowy.

Kość goleniowa lewej nogi złamana była tuż pod stawem kolanowym. Chory w czasie badania jęczał, znać było, że bardzo cierpi. Jednakże już nie wpadł w ponowne omdlenie.

— Potrzeba mi noszy, gdyż trzeba go zanieść w swobodne miejsce. Tutaj nic zrobić nie mogę — rzekłem do Sir Cyryla. — I dobrzeby było, gdyby pan posłał po pierwszorzędnego chirurga. Może najlepiej po Sir Franciszka Shortera — jego adres, zdaje mi się, Manchester Square 102. Trzeba mu powiedzieć, że to złamanie kości goleniowej. Ciężki przypadek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dyrektor Banku przemysłowego.

Uchwała sejmowa w sprawie utworzenia galicyjskiego Banku przemysłowego, wejdzie nareszcie w życie, mimo opozycyi pewnych sfer, które za wszelką cenę chciały tę pożyteczną dla kraju i tak bardzo pożądaną instytucyę utrącić. Akcyonaryuszami będą: kraj, grono kapitalistów galicyjskich, oraz dolno-austryackie towarzystwo eskontowe, jedna z najpoważniejszych instytucyj finansowych w Austryi.



Dyrektor Banku przemysłowego: Dr. Marcin Szarski.

Przed kilku dniami zapadła decyzya co do nominacyi dyrektora nowego banku. Dyrektorem mianowicie zostanie dr. Marcin Szarski, radca ministeryalny w ministeryum skarbu. Dr. Szarski, Krakowianin, potomek znanej i zasłużonej tutejszej rodziny mieszczańskiej, po ukończeniu gimnazyum św. Anny i studyów prawniczych ze stopniem doktorskim na wszechnicy Jagiellońskiej, wstąpił do służby rządowej naprzód w prokuratoryi skarbu w Wiedniu, a stamtąd w 1893 r. w ministeryum skarbu. W ciągu służby w tem ministeryum zaznajomił się dr. Szarski wszechstronnie ze sprawami ekonomicznemi i handlowemi, pracował bowiem kolejno w biurze walutowem, w oddziale dla Banku austro-węgierskiego, w biurze banków i kas oszczędności, w biurze giełdowem i t. d. Pełniąc nadto przez lat kilka funkcye pierwszego zastępcy komisarza giełdowego, oraz będąc członkiem komisyi związkowej, decydującej instancyi dla podań o koncesye na towarzystwa akcyjne, poznał dokładnie wszelkie rozgałęzienia życia finansowego. To też dr. Szarski ma wszelkie kwalifikacye i warunki do objęcia trudnego i odpowiedzialnego stanowiska dyrektora Banku przemysłowego, którego rozwój zależeć będzie przedewszystkiem od zdolności i energii kierownika.

Nominacyę dra Szarskiego przyjęto w całym kraju z wielkiem zadowoleniem i przeświadczeniem, że jest to najodpowiedniejsza osobistość na to stanowisko. Należy się też spodziewać, że pod jego kierownictwem nowa instytucya będzie tem dla kraju naszego, czem ją chciał mieć sejm, czem ją chce mieć całe społeczeństwo.

A kraj i społeczeństwo chcą i pragną, by Bank przemysłowy wsparł wydatnie i skutecznie usiłowania, zmierzające do dźwignięcia Galicyi z upadku, do jej odrodzenia i wzbogacenia przez stworzenie przemysłu, którego brak tak dotkliwie odczuć się daje.

Taka była idea tych, którzy od szeregu lat nawołują społeczeństwo do realnej pracy, taka była idea posłów sejmowych, gdy z wnioskami o założenie Banku przemysłowego wystąpili. A choć myśl w zasadzie nie miała i nie ma przeciwników, przecież trzeba było dużo czasu i dużo wysiłków, by ją w czyn zamienić i by zwalczyć opozycyę ludzi krótkowidzących, którzy ze względów partyjnych projekt wydziału krajowego w sejmie galicyjskim namiętnie zwalczali.

Ukraińskie „Siczowe święto“.

W ostatnią niedzielę maja odbył się w Stanisławowie zjazd „Ruskich Siczy“ na wielkie „Siczowe święto“. Stanisławów, wybijający się wśród miast Galicyi na jedno z pierwszych miejsc, położony na wschodnim jej krańcu i otoczony w większej części ruskiemi gminami, przedstawia bardzo dogodną placówkę do celów rutenizacyjnych. Ukraińska partya, mając tu biskupstwo i seminaryum duchowne, z zapałem jej zasady krzewiące, stara się uczynić ze Stanisławowa swą niejako metropolię. I rzeczywiście niebezpieczeństwo jest groźne. Z jednej strony żydowska polityka „cichej wody...“, z drugiej, w zarzewiu dopiero będąca, repressyjna Ukraińców, oto czynniki, stojące na przeszkodzie intenzywniejszemu rozwojowi społecznego polskiego życia w owem mieście.

Otóż partya Ukraińców, z posłem Trylowskim na czele, urządziła ów zjazd celem naocznego przekonania się o swym rozwoju liczebnym i zademonstrowania przeciw wrogim stronnictwom. Już w sobotę witano na dworcu przybyłych gości, między tymi paru Czechów, Słoweńców i t. d.

W niedzielę od samego rana grupy wieśniaków przeciągały przez miasto, czekając na rozpoczęcie uroczystości. O godz. 12 zaczęto ustawiać się do pochodu, a równocześnie w sali teatralnej odbył się wiec, na którym przemawiali także goście. Odczytano dalej telegramy, między którymi były od burmistrza Pragi dr. Grosza, od prof. Drtiny, prof. Massaryka, od sokolstwa kijowskiego i t. p. Wkońcu p. Osyp Nazaruk przemówił „O znaczeniu Siczy“.



Ukraińskie „Siczowe święto“: Pochód dziewcząt siczowych w ulicach Stanisławowa.

O godz. wpół do trzeciej odbył się pochód, na czele którego jechał pierwszy koszowy, konno z buławą, w kozackim stroju. Za nim oddział konny wieśniaków a w dalszym ciągu liczne oddziały pieszych, tak chłopców jak i dziewcząt. Charakterystycznemi były orkiestry chłopskie ze skrzypcami i basami w pochodzie i oddziały z kolorowemi lancami. Całość wyglądała malowniczo, efekt jedynie psuły śpiewy antypolskie i demonstracye, urządzane przed lokalami towarzystw moskalofilskich. Na zamiejskich błoniach, t. zw. Dąbrowie, odbyły się o godz. 5 ćwiczenia chłopców i dziewcząt, wolne, lancami i konno. Ćwiczenia nader piękne, zakończone zostały popisem włościańskiej straży. Bankiet w „kasie ruskiej mieszczańskiej“ i zabawa w ruskiem kasynie zakończyły zjazd.



Ukraińskie „Siczowe święto“: Ruscy wieśniacy z lancami na boisku.

Wzrost i rozwój organizacyi siczowych w Galicyi wschodniej byłby objawem bardzo nawet sympatycznym, gdyby kierownictwo tego ruchu spoczywało w innem ręku, nie w ręku radykałów bezwyznaniowych, hajdamaków we właściwem a najgorszem tego słowa znaczeniu. Wskutek tego bowiem, że na czele ruchu siczowego stoją tacy trybuni ludu, jak osławiony poseł Trylowski, dla których hasłem i podnietą do jakiejkolwiek działalności jest tylko i jedynie nienawiść do Polaków, organizacye siczowe zatraciły swój charakter instytucyi sportowej, a stały się organizacyą polityczną. Wyrządziły też one w krótkim czasie swego istnienia sporo szkody moralnej swojemu przedewszystkiem ludowi.

Rozważniejsi Rusini powinni sami zapobiedz dalszemu szerzeniu się tego rodzaju ruchu wśród ludu ruskiego.



Ukraińskie „Siczowe święto“: „Bracia“ Słowianie, goście „siczowników“, oraz dziewczęta ze „Siczy“.

Kronika tygodniowa.

(Kraków bez wody. — Radość regulatorów. — Następstwa bezwodzia. — Człowiek z wodą w głowie. — Dobre strony posuchy. — Jedyny środek zaradczy. — Biedni ci stróże! — Jak się mamy bronić? — Pan Pająk w obronie kamieniczników i co z tego wyniknie. — Kongres mieszkaniowy. — Cesarz Wilhelm narzeka na biedę i ja też. — Który z nas ma racyę. — Medard nas zawiódł. — Jak nas Niemcy kochają.— O strasznych skutkach fasoli. — Rozłam w endecyi).

Kraków bez wody! — oto hiobowa wieść, która przebiegła całą Europę, a szczególniej głośnem echem odbiła się o Pilzno, Okocim i wszelkie fabryki sztucznych wód mineralnych. Ze wszystkich stron świata nadchodzą depesze kondolencyjne, magistrat nakazał procesye i nabożeństwa błagalne, choćby o oberwanie chmury, niebieski referent pogody zaciął się jednak (podobno jest nim jakiś Rusin, zwolennik podziału Galicyi na wschodnią, czyli ukraińską i zachodnią, czyli żydowską) i zamknął kurki od niebieskich upustów, chcąc w ten sposób zniszczyć lackie plemię i niżej podpisanego, który w poprzedniej kronice poważył się skrytykować ukraińską politykę w Galicyi. Co się mnie tyczy, to czcigodny referent jest w błędzie, ja bowiem ślubowałem przed laty, że wody pod żadną postacią, ani w stanie oryginalnym, ani w jakikolwiek sposób denaturowanej do ust nie wezmę, a przysięgę tę ponowiłem niedawno, gdy ekscellencya Biliński postanowił uczynić zamach na nasze wody mineralne i obłożyć je podatkiem.

Swoją drogą jest to klęska, jakiej Krakowianie nie pamiętają od lat wielu. Dziś dopiero pokazało się, że są jeszcze między nami osobniki, które piją wodę, a te mdleją z pragnienia, gdyż z Bielan nadchodzą coraz to smutniejsze wiadomości. Inicyatorzy wodociągów ze Śmierdzącej i Cholerzyna (jakie to hygieniczne nazwiska!) łamią ręce z rozpaczy, profesor Domański wraz z innymi *regulatorami* (tak pozwoliłem sobie nazwać protektorów źródeł regulickich) zacierają ręce i mówią:

— A co, nie przepowiadaliśmy tego już przed piętnastu laty? Nie chcieliście nas słuchać, teraz gińcie z pragnienia!

Na tle braku wody spodziewają się licznych słabości epidemicznych, które mogą być na rękę przeciwnikom obchodu grunwaldzkiego. Jak słyszałem jeden z wielkich polityków zapadł już na manię wielkości i wczoraj zgłosił się w biurze wodociągowem twierdząc, że on uchroni Kraków od zagłady, ma bowiem w głowie tyle wody, że wystarczy ona przez kilka miesięcy na potrzeby Krakowian. Tonący brzytwy się chwyta — zarząd wodociągów poddał więc oferenta badaniom technicznym, następnie wzięli go w obroty psychiatrzy, i ci stwierdzili rzeczywiście w jego mózgu ślady wody, w mniejszej jednak nieco ilości, niż w tak zwanych źródłach bielańskich.

Jeden z hygienistów zapewnił mnie pod słowem honoru, że obecna posucha ma jednak i dobre strony, gdyż bakcyle tyfusu plamistego z zakładu nieuleczalnych w ogrodzie angielskim już wyzdychały z pragnienia, a nadto wyschły nawet kałuże, które pamiętają czasy wolnego miasta.

Przemysł ucierpi na tem, to rzecz pewna, już dziś bowiem zapanowała zupełna stagnacya w fabrykach krajowych oryginalnego wina węgierskiego, lód zdrożał, a za lodem poszło i piwo... Czarna rozpacz ogarnia nasze gospodynie, które na ten właśnie czas proponowały wielkie pranie przedwakacyjne, niema bowiem wody, a bez niej przedsięwzięcie udać się nie może. Zwołały też poufny wiec utrapionych żon i matek z protestem przeciw gospodarce miejskiej i żądaniem, aby pan prezydent postarał się, gdzie należy, aby Kraków miał odpowiednią ilość wody. Poruszono przytem okoliczność, że gdyby kobietom nie utrudniano wstępu do Rady miejskiej, wszystko byłoby dobrze, a moja czcigodna połowica oświadczyła całkiem seryo, że gdyby była członkiem Rady, nim skończyłaby rozpoczętą mowę, deszcz tymczasem lunąłby, jak z cebra.

Grono poważnych obywateli wpadło na bardzo dowcipny pomysł. Ponieważ z doświadczenia kilkunastoletniego wiadomo, że ilekroć pan Mądrzykowski zapowiadał produkcye pyrotechniczne, tyle razy można było być pewnym, że deszcz spadnie, należy wezwać energicznie magistrat, aby w najbliższych dniach z urzędu postarał się o zapowiedzenie fajerwerków. W ten sposób zaradzi się brakowi wody i uchroni miasto i ludność od zguby.

Ledwie wymigaliśmy się z tarapatów komecianych, katastrofa grozi nam znów z innej strony.

Najnieszczęśliwsi jednak ze wszystkich mieszkańców miasta są stróże kamieniczni, którzy mają obowiązek baczyć, aby w domu i około niego był porządek, a nadto mają czuwać, aby nie marnowano wody wodociągowej... Jeśli pan dozorca nie skropi ulicy, zapisuje go policyant, jeśli ją zaś skropi, pociąga go do odpowiedzialności magistrat, ponieważ marnuje wodę, która teraz ma większą wartość, niż średniej jakości oryginalne wino węgierskie.

Nic też dziwnego, że w takiem utrapieniu zdobyli się panowie dozorcy na krok heroiczny i uchwalili podnieść taksy za otwieranie bramy, jeśli bowiem muszą tak bardzo cierpieć, niech mają za to przynajmniej jaką taką rekompensatę. Niestety, my zwykli śmiertelnicy, którzy jesteśmy tylko lokatorami a nie stróżami lub kamienicznikami, jesteśmy w daleko gorszem położeniu, nie tylko bowiem nie mamy wody, nadto ucierpi także i kieszeń, boć, choćby człek był nie wiedzieć nawet jaki porządny, przecież nieraz trafi mu się, że przyjdzie do domu po zamknięciu bramy. Minęły już te czasy, gdy wystarczył czworak, dziś otrzymawszy dwadzieścia halerzy, patrzy pan dozorca pogardliwie na ofiarodawcę i wpuszcza z lekceważącym uśmiechem szóściela w głębie szarawarów, a obym nie był fałszywym prorokiem, niedługo i koronka będzie mało!

Trzeba będzie wówczas udać pokorę i u władzy domowej wyrobić sobie całoroczny „przezczas“, aby módz zjawić się dopiero po otwarciu bramy. W tym celu otrzymywać się będzie od żony cyrograf, który musi podpisać i zaopatrzyć pieczęcią stróż domowy, za co należy mu się taksa urzędowa w kwocie jednej korony za każdy raz. Władze policyjne będą miały prawo kontrolować, czy każdy z małżonków, spędzający noc poza domem, zaopatrzony jest w wyżej wspomniane pozwolenie, a wykraczający przeciw powyższemu rozporządzeniu karani będą w myśl patentu kancelaryi nadwornej z r. 1593, karą aresztu do dni czternastu lub grzywnami od dwóch koron do dwudziestu. Zebrane w ten sposób pieniądze obrócone będą na utworzenie funduszu pensyjnego dla stróżów, gdyż nasi kamienicznicy są na to za biedni, wynajmując, jak twierdzi pan Pająk, kandydat na radcę miejskiego, lokatorom mieszkania niżej cen własnych.

Bardzo to pięknie ze strony pana Pająka, że się ujął za biednymi kamienicznikami, których każdy krzywdzi, niezawodnie też oddadzą mu swe głosy i postarają się bodaj o skromny pomnik dla niego na rynku Dębnickim z napisem: „Jedynemu obrońcy — uciemiężeni kamienicznicy“. Ja sądziłbym, aby w dowód wdzięczności, jeśli nie posiada kamienicy, podwyższyli mu też i czynsz za mieszkanie, skoro bowiem narzeka, że w Krakowie są mieszkania zanadto tanie, widać może więcej płacić. Z drugiej strony powiadają mi, że jest to tylko tak zwane n a j z w y k l e j s z e *captatio benevolentiae* przed wyborami, bo pan ten ma też swą realność, więc powód zrozumiały, że płacze na małe czynsze, to bowiem weszło już w zwyczaj u naszych właścicieli realności.

Sprawą tą zajmował się obradujący we Wiedniu w ubiegłym tygodniu kongres mieszkaniowy, w którym wzięli udział i przedstawiciele Krakowa. Ja tam nie interesowałem się tą sprawą, nie posiadam bowiem kamienicy, a nawet w czasie, gdy i wodę trzeba kupować, nie mam nawet nadziei, abym do niej kiedyś doszedł, chyba, że zaufanie współobywateli powołałoby mnie w skład Rady miejskiej. W takim razie, to co innego!

Że zaś czasy są nader ciężkie i to nie tylko dla zwykłych śmiertelników, ale nawet dla głów koronowanych, mamy najlepszy dowód w staraniach, jakie dwór pruski czyni o podwyższenie listy cywilnej króla pruskiego, który ponadto piastuje godność cesarza niemieckiego i za to nie pobiera żadnego osobnego dodatku. Skoro zaś wszyscy narzekają, że ciężkie czasy, dlaczegóżby i cesarz Wszechniemców nie miał także przyłączyć się do ogólnego chóru i nie prosić o drobną podwyżkę trzech do pięciu milionów marek? Wprawdzie sfery rządowe twierdzą, że ma dosyć, wierni poddani zawotują prawdopodobnie żądaną kwotę, bo nużby się Wiluś zgniewał i oddał tron następcy! Wszak nikt nie potrafi tak pięknie mówić, jak on, nikt nie posiada tak rozgałęzionych stosunków i tak bystrego sposobu zapatrywania się na europejską politykę! Jeśli zaś każda praca powinna być należycie wynagradzaną (na to zgadza się nawet towarzysz Ignacy), czyż nie należy uwzględnić życzeń cesarza, który dla utrzymania zbrojnego pokoju takie niebotyczne położył zasługi? Zdaje mi się, że i ja pójdę w ślady jego cesarskiej mości i do naczelnej Redakcyi wniosę także skromną prośbę o podwyższenie mej listy cywilnej, motywując ją, rzecz prosta, brakiem wody i podrożeniem z tego powodu wina i piwa, bez których kronikarskie natchnienie mogłoby być narażone na wielką szkodę.

Ogromną nadzieję pokładaliśmy w św. Medardzie, który zazwyczaj jest beksą, tym razem jednak choć go proszono, aby nas pokropił, nie dał się rozczulić... Nadzieja czterdziestodniowego deszczu zniknęła w jednej chwili, jak obłoczek dymu, zostało wspomnienie przykrej rzeczywistości, że jeżeli rzeczywiście jeszcze czterdzieści dni będziemy mieć posuchę, Kraków stanie się istną Saharą, gdzie za łyżkę świeżej wody trzeba będzie płacić bajońskie sumy, a myć i kąpać się będą mogli tylko hrabiowie i książęta. W ślad za tem podrożeją bułki i mięso, panowie piekarze i rzeźnicy czekają tylko na sposobność, aby mieć punkt zaczepienia, boć tak bez powodu ciągle cen podwyższać nie można. A teraz jest właśnie odpowiednia chwila, bo przecież woda potrzebna jest do bułek i do obmywania mięsa, jeśli więc podrożała, w ślad za nią muszą i te artykuły.

Kto posiada w domu studnię, może dojść do majątku, niestety, w tem miłem położeniu są znowu tylko panowie kamienicznicy, którym, przyznać trzeba, szczęści się na każdym kroku.

Grozi nam jeszcze większe odwodnienie, gdyż jak wiadomo, Rudawę przenoszą na Zwierzyniec, a Wisłę zabiera pan Długosz do Lwowa. Najlepiej stosunkowo wyjdą na tem pisma polityczne, pozbędą się bowiem wodnistych artykułów wstępnych, choć z drugiej znów strony utrudnionem będzie polowanie na kaczki dziennikarskie, które bardzo chętnie przebywają w wilgotnych okolicach.

Zebrawszy więc wszystko, co można powiedzieć *pro* i *contra* z racyi obecnej posuchy, mam bardzo za złe magistratowi, że nie obiecał św. Medardowi, iż zostanie patronem Wielkiego Krakowa, jeśli nam deszcz spuści, choć znowu powiadają, że to znów nie jest tak wielki zaszczyt i kto wie, czy taką obietnicą dałby się był ów święty mąż przekupić!

Natomiast zimnej wody, ale w znaczeniu przenośnem, nie żałują nam sympatyczni sąsiedzi. Gdy w niedzielę odbywało się w Białej dziesięcioletnie święto tamtejszego „Sokoła“, poczciwi Niemiaszkowie pokaleczyli uczestników zebrania, a Wysoka Władza patrzyła spokojnie, czy nie należy wkroczyć. Ponieważ Niemców nie bito, uznała mieszanie się za zbyteczne. Także były minister rodak, znany komiwojażer polityczny i prowincyonalny agitator, Dr. Schreiner, zapowiedział apostolską podróż po galicyjskich gminach niemieckich, aby nareszcie się przekonać, jak Polacy maltretują Niemców w Galicyi. Ukraińcy gotują mu serdeczne powitanie nad Pełtwią, gdyż ma im przywieść pozdrowienie z Berlina.

Pocieszy się ich serce, które tak boleśnie zraniła wiadomość o zamachu na niemieckiego następcę tronu. Gdy wracał z parady wojskowej, jakiś zbzikowany pan Eierweiss rzucił pod nogi konia puszkę blaszaną, w której miała być jakaś straszliwa materya wybuchowa. Po zbadaniu dokładnem przez znawców pokazało się, że była to tylko zwyczajna fasola, która, jak wiedzą jej amatorowie, należy także do silnych środków wybuchowych. Dlatego to zapewne, po każdym obiedzie, przy którym podadzą mi fasolkę, a pasyami ją lubię, prosi mnie żona, bym zechciał pójść na przechadzkę i to sam i na Błonia, bo jak powiada poczciwina, tam mniej ludzi, a zato więcej świeżego powietrza. W takim razie stwierdzić muszę, że od owej fasoli księciu następcy tronu nie groziło znów tak wielkie niebezpieczeństwo!

Z powodu długotrwałej posuchy nastąpił także rozłam w partyi narodowo-demokratycznej, po którym, kto wie, czy się Koło polskie nie rozleci, o tem jednak dziś jeszcze, choć jestem zawodowym stelmachem (politycznym), nic pewnego powiedzieć nie mogę.

X.

Brak wody w Krakowie.

Wyjątkowo sucha i lekka zima tegoroczna, następnie wiosna prawie zupełnie bez opadów atmosferycznych, wpłynęły niesłychanie ujemnie na stan wody w źródłach i studniach, zasilających zbiorniki wodociągu krakowskiego na Bielanach i kiedy nadeszła pora upałów a z nimi znacznie większe zapotrzebowanie wody, wodociąg nie mógł dostarczyć tyle wody, ile jej dla zaspokojenia wszystkich konsumentów potrzeba.

Sytuacya była wprost krytyczna. Wiadomo bowiem, że z chwilą, gdy w Krakowie zostały zaprowadzone wodociągi, dawne studnie w całem mieście zasypano, kiedy zatem zabrakło wody w wodociągu, miasto znalazło się w tem fatalnem położeniu, iż wogóle zabrakło wody. Do pogorszenia sytuacyi przyczyniła się i ta okoliczność, iż w wielu domach krany wodociągowe są popsute i dużo wody się marnuje, a także mieszkańcy obchodzą się z tym cennym napojem bardzo nieekonomicznie, marnując go masami.

Wobec tego prezydyum miasta zarządziło ograniczenie czasu, w którym mieszkańcy mogą z wodociągu korzystać, przeznaczając na to tylko kilka godzin na dobę. Zresztą wodociąg jest zamknięty. Aby zaś zaradzić brakowi wody w mieście, zarządziło prezydyum rozwożenie wody źródlanej w beczkach. Jest to oczywiście półśrodek, nie mniej jednak był on konieczny, a dowodzi tego fakt, iż na odgłos dzwonka, zwiastującego zjawienie się beczki z wodą, zbiegają się do niej ze wszystkich stron służące z konewkami, garnuszkami, dzbankami itp., aby zasilić skromne zasoby domowe.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Wybuch prochu w Przemyślu: Pogrzeb ofiar strasznego wybuchu na cmentarzu w Przemyślu.



Brak wody w Krakowie: Beczkowóz, dostarczający wody mieszkańcom Krakowa.

Jak długo stan ten trwać będzie, trudno przewidzieć, zdaje się, że w każdym razie potrwa on jeszcze czas jakiś, gdyż pogoda stale dopisuje i nie zanosi się na zmianę.

Celem zaś zapobieżenia w przyszłości podobnej historyi, uchwaliła już miejska komisya wodociągowa pomnożenie ilości studzien, dostarczających wody do zbiorników wodociągu na Bielanach, spodziewać się więc można, iż nawet w razie najgorszej posuchy podobny wypadek w dziejach Krakowa się nie powtórzy.

„Ułani księcia Józefa".

Doskonałą, ogromnie efektowną a bardzo sympatyczną sztukę przyswoił dyrektor Rygier repertuarowi teatru ludowego w parku krakowskim. Sztuką tą „Ułani księcia Józefa", wodewil ze śpiewami i tańcami, przerobiony i zlokalizowany przez autora, kryjącego się pod pseudonimem Mazura.

Mimo iż utwór ten jest przerobiony z obcego języka, charakter całej sztuki jest najzupełniej swojski i pochodzenia obcego trudno się domyśleć. Treść, ujęta w cztery niedługie odsłony, daje obraz życia pułku ułanów polskich, przebywających naprzód na kwaterze w Pyzdrach, gdzie oficerowie, pozbawieni towarzystwa i zabaw, nudzą się najokropniej, a następnie w Kaliszu, wesołem, ruchliwem mieście, gdzie znowu, nagradzając sobie długi post poprzedni, rzucają się w wir zabaw i miłości, zwłaszcza że i Kaliszanki nie są od tego, a dziarscy, przystojni



„Ułani Księcia Józefa": Oficerowie ułańscy z pułkownikiem Zarembą (p. Poleński) w pośrodku.

oficerowie bardzo się im podobają. Ułani zdobywają w mig całe miasto, stają się jednak równocześnie sami ofiarami, z pułkownikiem swym na czele, który pierwszy idzie do ołtarza z piękną a bogatą wdówką, ciągnąc za sobą szereg młodych oficerów, bo i z nich każdy umiał zdobyć serce którejś z Kaliszanek. Akcyę wodewilu urozmaicają liczne śpiewy i tańce polskie, z których zwłaszcza mazur ożywia sztukę nadzwyczajnie.

„Ułanów“ wystawił teatr ludowy z ogromną starannością. Zgrabne, barwne mundury ułańskie, odpowiadające wiernie mundurom ułanów księcia Józefa, a wykonane w pracowni krawieckiej teatru ludowego pod kierunkiem p. Kwiatkowskiego, lśnią całe od srebrnych szlifów i sznurów, chwytają też za serce widza, budząc wspomnienia rycerskiej przeszłości naszej. Do powodzenia sztuki przyczyniła się także staranna reżyserya i bardzo sumienna gra artystów. Niemal wszyscy zasłużyli na gorące pochwały, na czoło zaś wysunęli się p. Poleński, jako pułkownik Zaremba, p. Bończa, świeżo zaangażowany, bardzo inteligentny i utalentowany artysta, w roli jednego z poruczników, p. Jarniński, jako kupiec Kropka, chytry ale poczciwy mieszczanin kaliski, dalej pp. Szarkowski i Tatrzański, oraz panie Kollmanówna, Gawlikowska i Grabowska; sympatyczna tancerka p. Górska zbierała huczne oklaski za mazura, odtańczonego pięknie z p. Dolińskim.

„Ułani“ podobali się publiczności nadzwyczajnie, a teatr w parku krakowskim przepełniony dzień w dzień, sztuka ta bowiem od tygodnia nie schodzi z afisza i długo jeszcze na nim się utrzyma.



Konik zwierzyniecki: Tatar w otoczeniu członków cechu włóczków w ulicy Zwierzynieckiej.

Konik zwierzyniecki.

Tradycyjnym zwyczajem i w bieżącym roku w oktawę Bożego Ciała wyległy tłumy ludu w stronę Półwsia Zwierzynieckiego, aby podziwiać „lajkonika“. Pogoda dopisała, a choć może upał i biednemu konikowi i publiczności dał się nieco we znaki, ochoty nie brakło: z trudem torowali włoczkowie drogę biednemu Tatarowi, który przy dźwiękach muzyki harcował po ulicach, ile tchu w piersiach starczyło.

Od wieków powtarza się corocznie ta ludowa uroczystość, a nie traci nigdy na oryginalności, młodzi i starzy z jednaką niecierpliwością oczekują czwartku wieczór, by bodaj zdaleka ujrzeć konika.

Jak twierdzi podanie, ma to być pamiątka mężnego kroku jednego ze zwierzynieckich rybaków, który przed laty, właśnie w chwili, gdy w Krakowie odbywała się procesya, zebrał gromadę mieszczaństwa i pobił Tatarów, którzy z nienacka napadli na Zwierzyniec. Przebrany w suknie dowódcy, udał się następnie dzielny włoczek na Rynek krakowski, aby ludność miasta zawiadomić o niebezpieczeństwie, którego cudem prawie uniknęła. Od tego czasu corocznie w oktawę Bożego Ciała, gdy procesya Maryacka ma się już ku końcowi, wyjeżdża z klasztoru Zwierzynieckiego konik i w tryumfalnym pochodzie przeciąga ulicą Zwierzyniecką i Franciszkańską pod pałac biskupi, gdzie otrzymuje tradycyonalnego dukata. Po złożeniu hołdu prezydentowi miasta, ulicą Bracką posuwa się pochód w stronę Rynku, a zatrzymując się pod „Baranami“, dochodzi do sklepu Hawełki, gdzie czeka go sute przyjęcie. Stąd rozpoczyna się odwrót. Ulicą Wiślną i Zwierzyniecką podąża tłum w stronę Półwsia, skąd późno w nocy dochodzą jeszcze wesołe okrzyki rozbawionych rybaków, obchodzących swe doroczne święto.

Przywilej urządzania konika posiada stara rybacka rodzina Micińskiego z Półwsia Zwierzynieckiego; do uświetnienia obchodu przyczyniło się niemało Towarzystwo Miłośników miasta Krakowa, dzięki któremu stary zwyczaj nie poszedł w zapomnienie.

W rocznicę Grunwaldu.

Corocznie tysiące idą za granicę za rozmaite zabawki i łamigłówki dla dzieci i dorosłych, a lwia część tych pieniędzy tonęła dotąd w kieszeni Prusaków, którzy w zamian za to dawali nam banalne głupstwa, podnoszące obcą kulturę a deprawujące narodowego ducha.

To też z uznaniem podnieść należy usiłowania jednostek, pracujących nad wyrugowaniem zagranicznej tandety, a popierających wytwórczość krajową w tym kierunku. Jednym z nich jest znany krakowski profesor seminaryum nauczycielskiego żeńskiego, p. Antoni Mikulski, który z okazyi pięćsetnej rocznicy zwycięstwa nad Krzyżakami wydał zabawkę dla dzieci polskich p. t. „Grunwald“.

Jest to tekturowa układanka z tekstem w opracowaniu p. A. Mikulskiego oraz z prześlicznym wierszem M. Konopnickiej p. t. „Przysięga“. Obrazki przedstawiają: I. Mapę Polski; II. Jadwigę i Jagiełłę; III. Posłów krzyżackich, wręczających królowi Jagielle w imieniu wielkiego mistrza dwa miecze; IV. Zbigniewa Oleśnickiego, ratującego króla Władysława przed napadem Dypolda v. Kikerzyc; V. Zwłoki wielkiego mistrza na polu walki; VI. Rugi pruskie w dobie obecnej.

Sam pomysł jak i jego wykonanie zasługują na



„Ułani Księcia Józefa“: Ostatnia scena sztuki „Ułani Księcia Józefa“, granej obecnie z ogromnem powodzeniem w teatrze w Parku krakowskim.



W rocznicę Grunwaldu: Wydana staraniem prof. Mikulskiego nowa gra dla dzieci polskich.



Aleksander Zelwerowicz.

uznanie polskiego społeczeństwa, które w nowej grze znajdzie dla młodego pokolenia nader cenny środek pedagogiczny, przyczyniający się w wysokim stopniu do rozbudzenia ducha narodowego i to w tak podniosłej chwili, jaką jest rocznica wiekopomnego zwycięstwa.

Nie wątpimy, że w każdym polskim domu znajdzie się ta zabawka, cena jej bowiem (2 K 50 h za egzemplarz w eleganckiem pudełku) jest wcale przystępną, a wykonanie nader staranne. Będzie tu przyjemne połączone z korzystnem, gdyż nowa ta zabawka nietylko przyczyni się do miłego spędzenia czasu, ale wbije w pamięć młodzieży tę najpiękniejszą z kart naszych dziejów ojczystych.

Aleksander Zelwerowicz.

Miły gość zawitał w przeszłym tygodniu na scenę krakowskiego teatru. Aleksander Zelwerowicz, dyrektor teatru w Łodzi, a były artysta sceny krakowskiej i ulubieniec tutejszej publiczności, odświeżył łączące go z naszem miastem węzły sympatyi i przyjaźni, występując kilkakrotnie w swych popisowych rolach.

P. Zelwerowicz opuścił scenę krakowską przed dwoma laty zaledwie, publiczność tutejsza więc pamięta go jeszcze bardzo dobrze i wie, co znaczy zapowiedź jego występów. Zwłaszcza że na gościnne występy wybrał sympatyczny artysta swoje istotnie najlepsze role; poszły więc kolejno: „Chory z urojenia", „Wieczór trzech królów", „Wujaszek Wania", „Odrodzenie" i „Tamten", a pójdą jeszcze „Cierpki owoc" i „Pan Jowialski".

Talent Zelwerowicza, jego zdolności aktorskie, jego znajomość środków scenicznych, są istotnie nadzwyczajne. Zdumiewająca zaś jest wszechstronność tego artysty. Obok ról nawskróś komicznych, któremi też do łez rozśmiewa publiczność, kreuje nadzwyczajnie role dramatyczno-charakterystyczne, wzruszając widzów do głębi.

Zapowiedź występów Zelwerowicza w Krakowie przyjęto ogólnie z ogromnem zadowoleniem. Były one wspaniałem zakończeniem tegorocznego sezonu.

Z półek księgarskich.

Część i sława Juliuszowi Słowackiemu w setną rocznicę urodzin 1809 dnia 4 września 1909. Jego życiorys i poezye. Nakład Plato v. Reussnera. Cena 6 kop.

Im. Juljusza Słowackiego **Kalendarzyk** z mapką Królestwa Polskiego na rok 1910. Nakład Pl. v. Reussnera. Cena kop 5

Plato v. Reussnera. Samouczek polsko-francuski. Najlepsza metoda do nauczenia się po francusku czytać, pisać i rozmawiać w dwu miesiącach bez nauczyciela. Kurs drugi. Część praktyczno-konwersacyjna. Wydanie V. powiększone. Własność i nakład autora. Warszawa 1910.

Wydawnictwo pedagogiczne P. v. Reussnera zjednało sobie dzięki umiejętnemu opracowaniu ogólne uznanie w Królestwie Polskiem i zagranicą, zasługuje też na nie w całej pełni.

A. Kallas: **Powtórne małżeństwo,** dramat w pięciu aktach. Kraków 1910. Nakład księgarni D. E. Friedleina, Warszawa E. Wende i Ska.

Nader starannie wydane dzieło znanej chlubnie autorki przyjęte zostało życzliwie przez publiczność i krytykę.

Broszura Grunwaldzka.

Wydział Tow. Gimn. „Sokół" w Podgórzu powziął myśl trwalszego, niż przemijający Zlot i uroczysty obchód, upamiętnienia 500-tnej rocznicy grunwaldzkiej.

W tym celu, uproszony przez Wydział, członek gniazda, napisał źródłową pracę, p. t. „Sława Polski", obejmującą wypadki dziejowe od chwili sprowadzenia Krzyżaków do Polski, aż do ich największego pogromu.

Historya uczy nas żyć, a gdy z niej tak potężne przemawiają do nas czyny, godzi się, by i nasze życie narodowe potężniejszem teraz odezwało się tętnem. Niniejszy opis „Bitwy pod Grunwaldem", tak bogatej w bohaterskie chwile, dodaje nam sił do znoszenia teraźniejszych katuszy i budzi nadzieję, że wkrótce będzie inaczej.

Taki jest cel broszury T. S., który gniazdom Sokolim i Komitetom obchodowym jak najściślej poprzeć się godzi.

Zalecamy ją również Pp. prelegentom, jako rzecz nową, nieznaną, na wieczorki i poranki, jakie się niebawem odbywać będą.

Cena księgarska jednego egzemplarza 1 Kor. Gniazdom Sokolim, Komitetom obchodowym i Towarzystwu Szkoły Ludowej udziela Towarzystwo „Sokół" przy większym odbiorze znacznego rabatu.

Zgłoszenia przyjmuje Towarzystwo Gimn. „Sokół" w Podgórzu.

Janina Pełeńska: **Na falach życia.** Drukiem Józefa Styfiego w Przemyślu 1910. Nakład księgarni A. Juszyńskiego Warszawa Gebethner i Wolff.

Szereg obrazków napisanych z widocznym talentem. Wstępny wiersz wcale udatny. Wydanie staranne, ozdobione illustracyą tytułową.

J. Schnuetzer: Teorya i konstrukcya aeroplanów z przedmową Dr. M. T. Hubera, profesora szkoły politechnicznej. Lwów 1910. Nakładem księgarni L. Chmielewskiego, z drukarni I. Jaegera.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Trójkąt magiczny:

J o a c h i m L e l e w e l
O g l ą d a c z b y d ł a
A r y s t o k r a c y s
C h a t a z a w s i ą
H o l o f e r n e s
I w a n g o r o d
M a t e c z k a
L a m p a r t
E d w a r d
L i l i a
E c h o
W ó ł
E j
L

Szarada: Czarniecki.

Szarada: Jabłoń.

Logogryf:

Sago
Tran
Andy
Suza
Iris
Anna
Kram

Zadanie do przestawienia: Dał Ci Bóg dary, używajże miary.

Łamigłówka: Cudze nie grzeje.

Logogryf:

Z
D e n
H a n i a
C h r o n o s
I n w e n t a r z
S c e p t y k
M ł a w a
E r g
P r e v o s t
D u c h i k r e w
T
E r a
W r o n a
O k o
I

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, M. Lesińska Sanok, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, W. Potocka Kraków, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Krieg Lwów, K. Ostmann Stanisławów, M. Idzikowska Jasło, M. Harasymowicz Lwów, K. Cieszkowski Warszawa, R. Zygmuntowski Płock, M. Kalinowska Sandomierz, J. Ortyński Stanisławów, K. Gliński Kołomyja, B. Radoszewski Rzeszów, J. Bukała Krosno, M. Lewicka Radomyśl, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Medyńska Czortków, W. Ostrowski Sandomierz, K. Michalski Janów, R. Christof Rzeszów, Z. Blaim Sanok, M. Gerhardt Lwów, W. Osadowski Jarosław, K. Nowak Żywiec, K. Klimek Stanisławów, T. Rohatyn Jabłonów, B. Jaworski Wiedeń, Z. Cygnarski Lwów, M. Krajewska Kraków, M. Więckowska Warszawa, S. Ryglicki Jasło, B. Muchowicz Tarnów, S. Krzyżanowski Radomyśl, K. Gawroński Tarnopol, J. Reklewski Limanowa, J. Baziak Sandomierz, W. Wacławowicz Płock, S. Ogibiński Jarosław, M. Radomska Lipno, H. Zajączkowski Rymanów, M. Krawecka Zakopane, S. Lipski Warszawa, J. Łubieński Warszawa, T. Ciesielski Kraków, B. Krokowski Tarnobrzeg, C. Wang Rzeszów, M. Bergstein Przemyśl, J. Popiel Sanok, H. Zachara Krosno, M. Wyka Lwów, T. Cieplik Jordanów, F. Schmidt Rzeszów, S. Michalski Jordanów, K. Link Budapeszt, S. Bieńkowski Wiedeń, J. Rymarz Cieszyn, K. Frankowicz Opawa, R. Batowski Jordanów, M. Sagnicki Tarnów, K. Rogoziński Przemyśl, J. Lechowski Jasło, W. Radomska Tarnopol, K. Czemeryński Dąbie, L. Tichy Kraków, B. Klappholz Kraków, S. Lewicki Kraków, J. Menczak Radymno, O. Bogdalska Koropuż, W. Krupski Złoczów, M. Turecka Tarnopol, A. Bocsoń Bóbrka, K. Kaim Kraków, S. Faliszewski Baligród, K. Fuchs Czeremchów, J. Badura Rożdzień.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Krajewska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wyścigi konne w Krakowie. Sekretaryat donosi nam, że wyścigi konne Towarzystwa międzynarodowego odbędą się w dniach 19 (niedziela) 23 (czwartek) i 26 czerwca (niedziela) wyścigi zaś Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów w dniach 21 (wtorek) i 25 czerwca (sobota).

Terminy te wpłyną niewątpliwie dodatnio na przebieg wyścigów, gdyż przypadają w dnie niedzielne — co umożliwi szerszej publiczności wzięcie udziału w wyścigach.

Program Towarzystwa międzynarodowych wyścigów jest nadzwyczaj zajmujący zarówno dla znawców jak i szerokiej publiczności, obejmuje bowiem dziennie po 7 biegów, z których aż 8 będzie z ciężkiemi przeszkodami. — Również i program wyścigów Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów zapowiada się niezwykle interesująco, zawiera bowiem przeważnie biegi z przeszkodami, w których koni dosiadać będą nie dżokeje lecz panowie.

Biegi zarówno Towarzystwa międzynarodowego, jakoteż i Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów oprócz dość wysokich nagród pieniężnych, uposażone będą w cenne nagrody honorowe.

Podczas tegorocznego 5 dniowego sezonu wyścigowego będą oprócz totalizatora także czynni dwaj Bookmacherzy, co spowodnje niewątpliwie większy niż dotychczas zjazd obcych oraz ożywienie ruchu na wyścigach.

NADESŁANE.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

II

Wkrótce zaczęli przybywać inni goście. W salonie i dwóch przyległych pokojach stawało się gwarno. Przyglądano się bardzo Julianowi Maixentowi. Do jakiego środowiska społecznego mogła należeć ta osobistość, nie podobna ani do służącego, ani do człowieka światowego? Dymisyowany jenerał i żona senatora przerwali przy jego przejściu swą rozmowę.

— Ubranie jego jeszcze gorzej wygląda z tyłu... — rzekła dama, gdy dziwny gość odszedł już dość daleko. — Przypomina mi grabarzy cmentarnych!...

— Lecz któż to może być? — interesował się jenerał.

— Nie wiem zupełnie... Może jaki ajent z policyi.

— Ajent?...

— Jenerał przecież wie, że teraz zawsze znajduje się dwóch lub trzech koło ślubnych prezentów, które przychodzą podziwiać przyjaciele i znajomi narzeczonych?...

— Wiem... i uważam to za monstrualne...

— O tyle jest to monstrualne, o ile i konieczne...

— Lecz dzisiaj, o ile wiem, niema tu żadnej wystawy koronek i biżuteryi?...

— Nie... Nie brakuje tu jednak ładnych kosztowności... A nasze kieszenie zasługują także na to, by ich strzeżono...

— Policya więc musi znajdować się teraz na wszelkich towarzyskich zebraniach? Ładne czasy nastały!...

I stary jenerał zaklął pod nosem.

— Zna pan damę, która teraz wchodzi? — zapytała towarzyszka jenerała, zmieniając ton. — Boże! Wysoka, kwadratowa i błyszcząca!...

— Jest to pani Radoux, żona tego małego jegomościa, który za nią idzie...

— Wygląda jak obelisk, przystrojony na święto narodowe!...

Notaryuszowa, która padłaby omdlała ze złości, gdyby słyszała te słowa, posuwała się z majestatyczną powagą ku pani domu. Eskortował ją suchy i napuszony pan Radoux.

— Ach! droga pani! — rzekła, ściskając rękę Łucyi. — Czy wie też pani, kogo widziałam?

— Nie...

— Byłą pani nauczycielkę!

— Pannę Dubois?...

— Tak, ją!

Maksym Duret znajdował się o kilka kroków od nich. Baronowa dała mu znak oczami, by się zbliżył.

— Pani Radoux widziała pannę Dubois.

— Ach!... — zdziwił się prezes.

— I państwo nie domyślają się, gdzie to miało miejsce?... — mówiła dalej notaryuszowa.

Przerwała, by powiększyć efekt, potem skończyła:

— U mnie!... I państwo nie zgadną wcale, poco do mnie przyszła...

— Istotnie, poco mogła przyjść? — rozległ się za Maksymem Duretem jakiś wyraźny i przenikliwy głos.

Filantrop zadrżał cały i obrócił się. Stał za nim Julian Maixent.

— Pan Maixent, kuzyn pana Cartelegue'a — rzekła baronowa, przedstawiając Amerykanina. — Państwo Radoux...

Notaryusz i żona jego spojrzeli na miliardera z miną na pół słodką, na pół kwaśną. Musieli okazać się uprzejmymi dla krewnego wielkiego przemysłowca, z drugiej jednak strony nie cierpieli ludzi w zniszczonych ubraniach.

— Proszę sobie wyobrazić — opowiadała dalej notaryuszowa — że panna Dubois przyszła do mnie z koszykiem bielizny!...

— Z koszykiem bielizny?...

— Tak, pracuje w pralni Lambert przy ulicy Laugier 54...

Słowa te spotkały się z ogólnem zdumieniem.

— Przyszła z drugą prasowaczką, która zapewne musiała znać nazwisko klientów, do których je posłano... Panna Dubois nie spodziewała się z pewnością ujrzeć swych dawnych znajomych.. Gdy mnie zobaczyła, stała się naprzód purpurową, potem bladą, jak papier...

— To niezwykłe! — szepnęła baronowa.

Podeszli tymczasem inni goście, którzy przerwali rozmowę.

Julian Maixent usunął się z Maksymem Duretem na bok i patrząc mu prosto w oczy, zapytał:

— I co pan na to?

Prezes wzruszył ramionami. Szukał jakiej odpowiedzi.

— Ja sądzę — zaczął Amerykanin — że jeżeli pańska dawna nauczycielka miała do rozporządzenia miliony jakiegoś Karola Turnera, to nie potrzebowała najmować się do prasowania bielizny.

Maksym Duret znalazł już odpowiedź.

— Tak — odrzekł — o ile nad miliony Karola Turnera nie przekładała większej jeszcze sumy milionów Piotra Cartelegue'a... W tym wypadku musiała zerwać z Australczykiem i zaczęła pracowicie i uczciwie zarabiać na życie.

— Po co?

— By powiedzieć Piotrowi Cartelegue'owi to, co pan sam przed chwilą powiedział!... By mu okazać, że niema innych środków do życia, oprócz własnej pracy!

— Lecz mój siostrzeniec nie wie, że została praczką.

— Nie mogła go zaraz o tem zawiadomić — odparł Maksym Duret. — W odpowiedniej chwili znalazłaby się niby przypadkowo na jego drodze z koszykiem w ręku... Ten budujący i wzruszający sposób zarobkowania musiałby przekonać biednego kochanka, że ta młoda osoba jest najcnotliwszą na świecie... Mogłaby go już potem skłonić, by nie przykładał żadnego znaczenia do odkrycia tych podejrzanych listów... Jakby potrafiła wytłomaczyć ich obecność w swojem pudełku, tego nie wiem... Zapewne nie starałaby się nawet tego wyjaśniać... Odegrałaby jaką wzruszającą scenę... Albo też poprostu uznałaby się za ofiarę jakiej podstępnej machinacyi, jeżeliby jej przyszła ta myśl do głowy, tak jak panu!

— Tak... Przyznaję, że to wszystko jest możliwe..

— Bardzo możliwe!... A gdyby całe to udawanie nie przydało się na nic, jeżeliby Piotr Cartelegue pozostał nieczuły i nie wierzyłby w dalszym ciągu, wtedy mogłaby powrócić znowu do Karola Turnera!...

— Tak!... Jeżeli jednak, jak pan mówi, panna Dubois przekładała miliony Piotra Cartelegue'a nad miliony Karola Turnera, to poco w takim razie utrzymywała z nim stosunki, mogące na szwank narazić jej małżeństwo?

— Stosunki te — odparł prezes — zawarła zapewne przedtem, zanim Piotr wyznał jej swą miłość... Nie wahała się co do wyboru między dwoma kochankami... Król studwudziestu koni zwyciężył odrazu australskiego przemysłowca... Nie można jednak było zrywać natychmiast poprzednich związków, gdyż to mogłoby narobić wiele hałasu.. Wi dywała się więc z nim, lecz coraz rzadziej i z stałem postanowieniem, by te spotkania wreszcie ustały.

— Sapristi! Byłby z pana znakomity prokurator! — rzekł flegmatycznie Julian Maixent. — Ci, którychby pan oskarżał, musieliby się długo napocić, zanimby dowiedli swej niewinności!

Maksym Duret pojął teraz, że za daleko posunął się w swych zarzutach przeciw Ludwice. Było to najniezręczniejsze, co mógł uczynić. Należało działać tu insynuacyami, a nie twierdzeniem. Przenikliwe i lodowate spojrzenie Amerykanina do reszty go zmieszało... Przed sobą miał bystre, zimne oczy, które patrzyły na niego z takiem niedowierzaniem, iż nędznik tracił zwolna swój spokój, swe zwykłe panowanie nad sobą...

— Och! nie twierdzę wcale, że wszystko tak się odbyło! -- pośpieszył dodać. — Swych wyjaśnień nie uważam za nic więcej, jak tylko za proste przypuszczenia!

— Przypuszczenia w gruncie rzeczy zbyteczne — odrzekł Amerykanin — ponieważ za chwilę będziemy wszystko wiedzieli dzięki samemu panu Karolowi Turnerowi!

— Możemy się istotnie tego spodziewać...

— Jakto?... Spodziewać tylko?... Pan nie jest tego pewny?...

— Drogi panie — odpowiedział prezes — Karol Turner jest gentlemanem... A gentleman nigdy nie dopuści do skompromitowania kobiety... Wcale też nie zdziwiłbym się, gdyby udał, że nigdy nie znał naszej dawnej nauczycielki...

— Ma pan słuszność! — przyznał Amerykanin.

I opuścił Maksyma Dureta, by spotkać Piotra i powtórzyć mu całą rozmowę.

— Nie dziwię się wcale, że z taką pewnością siebie pokazuje nam tego Karola Turnera! — dodał po przytoczeniu ostatnich słów prezesa. — Wie on dobrze, że ten Australczyk, nie podejrzewający nawet istnienia panny Dubois, zrobi minę, jakby spadł z nieba, gdy mu się wspomni o listach jego do niej! Zawczasu też uprzedza to zdziwienie Australczyka i nieświadomość jego chce wytłomaczyć dyskrecyą! Ach! co za szubrawy filantrop! Nigdy bardziej nie byłem przekonany o jego winie... Trudno nam jednak będzie jej mu dowieść!

Widząc, że Piotr nie może ustać na miejscu, zwrócił mu uwagę.

— Więcej tylko, *my loy*, spokoju... Kręcisz się ciągle i wodzisz po wszystkich błędnemi oczami... Zauważył to wreszcie... o ile już tego nie zrobili... *Hallo!* Chodź grać... Karty cię rozerwą, a jeżeli cię nie uspokoją, to zdenerwowanie swe będziesz mógł położyć na karb gry.

Gdy miliarder odciągnął Piotra na rozmowę w drugi koniec salonu, Kamilla przez chwilę pozostała sama. Spojrzenie młodej panny spotkało się ze spojrzeniem Maurycego de Terrade, inżynier jednak nie starał się zająć wolnego przy niej miejsca. Odwrócił oczy i twarz jego przybrała zwykłą obojętną minę. Zakochany inżynier rozmawiał w chwili tej z panem Radoux o przemyśle i lokowaniu kapitałów. Stali oni w drzwiach, wiodących do gabinetu barona. Podszedł więc do nich Julian Maixent.

— Może zechcą panowie — rzekł do nich — zagrać partyę pokera ze mną i z mym siostrzeńcem.

— Chętnie! — odpowiedzieli jednocześnie Maurycy i notaryusz.

I wszyscy czterej siedli do stołu gry. W chwili tej do salonu wchodził Karol Turner. Złodziej umyślnie przybył później. Uważał, że tak będzie bardziej dystyngowanie. Maksym Duret podszedł ku niemu i poprowadził go do baronowej. Łucya z uśmiechem podała mu rękę. Drżała na samą myśl, że ten człowiek jest złoczyńcą, że palce dotykające się z uszanowaniem jej ręki, przyzwyczajone są do manipulowania wytrychami i świdrami, albo może na-

wet i sztyletem. Potem prezes przedstawił mniemanego Australczyka panu domu. Panajon powiedział poprawnie kilka zdań i nie kładł wielkiego nacisku na akcent angielski. Nie chciał uchodzić za mieszczucha, odgrywającego rolę Anglika, lecz za człowieka z wyższego towarzystwa, który od wczesnej młodości włada językiem francuskim.

— Rad jestem bardzo widzieć pana u siebie...— rzekł mu baron.

Maksym Duret przy pierwszej sposobności usunął się zaraz ze swym fałszywym Karolem Turnerem we framugę okna.

— Pamięta pan, jak się należy zachować, gdy będzie mowa o pannie Dubois? — zapytał go.

— Pamiętam, panie pr...

Panajon przerwał...

„Baczność“! — pomyślał. — Nie można wyjeżdżać do niego z tym tytułem prezesa! Byłby to straszny brak taktu! Nie mam teraz do czynienia ze znanym filantropem, lecz tylko ze zwykłym Maksymem Duretem, który wygląda mi na wielkiego hultaja!“

Wuj Łucyi mówił dalej:

— Dobrze! A teraz inna rzecz... Zaraz jutro rano uda się pan do biura prywatnej policyi... Panna Dubois jest prasowaczką w pralni pani Lambert przy ulicy Langier Nr. 54... Niech ją śledzą... Chcę wiedzieć, co robi każdej godziny...

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję dodawać, że nazwiska mego nie można wymieniać przy tem.. Agencya będzie wprost do pana odsyłała raporty swych detektywów, a pan będzie mi je komunikował...

Panajon, słuchając, mówił do siebie:

— Ten wysoki, łysy jegomość, z sędziowskiemi faworytami, robi tak wyniosłą minę, jakgdyby chciał człowieka zamrozić.. Dokąd tylko zmierza ta kanalia?...

— Mieszka pan w Tuileries-Palace? — pytał dalej Maksym Duret.

— Tak, wynająłem jednak już sobie przy ulicy Boissy-d'Anglas mały kawalerski apartament, który będzie dla mnie dogodniejszy...

— Niech pan się urządzi na szerszą skalę...

— Może pan być spokojny...

— Żyć dość głośno...

— Proszę się nie obawiać...

Gdyby prezes wiedział, jakim dziurawym workiem jest Panajon, wstrzymałby się od dawania mu podobnych wskazówek.

— A niech pan zamówi sobie karty wizytowe... — dodał.

— Tak, zamówię je u litografa na bulwarze Malesherbes... Widziałem u niego w witrynie karty ambasadora rosyjskiego, Pawła Bourgeta i księżniczki Tarente... Tam każę robić i swoje!...

Panajon śmiał się i zacierał ręce. Nigdy jeszcze nie znajdował się w towarzystwie osób z wyższego świata, chyba tylko w miejscach publicznych, gdzie się płaciło za bilet wstępu. Tego wieczora występował po raz pierwszy jak człowiek światowy. To go bardzo podniecało.

— A teraz — zakończył Maksym Duret — rozejdźmy się... Nie możemy pozostawać zbyt długo sami na osobności... W jadalnym pokoju zastawiony jest bufet... Niech pan wypije kieliszek szampana...

— Wolę już łyknąć tego bordeaux, którego próbowałem wtedy wieczorem, gdym pakował do walizy zastawę stołową... Przypomina pan sobie?...

— Tak... tak... Niech pan już idzie!... — odrzekł z niecierpliwością prezes.

Panajon zmarszczył lekko brwi.

Nie bardzo podobał mu się ostry i rozkazujący ton, jakim prezes dawał mu swe wskazówki. Oburzył go zwłaszcza akcent ostatniego zdania. Nie odpowiadając jednak, skierował się wprost do jadalnego pokoju. Po drodze mruczał do siebie:

— Ach, tak! Nie dopuszczę. by ten czcigodny drab traktował mnie w dalszym ciągu z wysokości swej pychy. Poczekaj jeszcze trochę, stary wałkoniu, a przekonasz się, czy będę się wahał poklepać cię po brzuchu!

Maksym Duret zauważył to zmarszczenie brwi i pomyślał:

— Ale ten opryszek nie jest bardzo dogodny! Lecz gdy mnie uwolni... wtedy i ja się od niego uwolnię i to łatwiej, niż sądzi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, da nam nazwisko współczesnego polskiego pisarza, trzeci, czytany w tym samym kierunku, tytuł jego dramatu.

□ — □ — —
□ — □ — — —
□ — □ — — — —
□ — □ — — —
□ — □ — —
□ — □ — — —
□ — □ — —
□ — □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Korzeniowskiego. 2. Część całości. 3. Inaczej przysmaki. 4. Imię męskie. 5. Jedna z cnót. 6. Oddział kozaków. 7. Zwierzę domowe. 8. Jaja rybie.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze, każdy to przyzna, zwierzę okazałe,
Drugie z trzeciem to także zwierzęta wspaniałe,
Całość, dziwnie się składa, wcale niespodzianie,
Jest ładnym, wonnym kwiatkiem o barwnej odmianie.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwszych, gdy płynie wiele, z radością witane
Drugie z trzeciem, jak całość, miejscowości znane,
Bo całość w naszym kraju słynne uzdrowisko,
Drugie z trzeciem zaś włoskie (takież daj nazwisko).
Całość w innem znaczeniu służy do wygody,
Dostarcza bowiem ciągle zimnej, świeżej wody.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła W. Budzianowska, Buczacz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
bez, i, izba, oset, Rej, ręka, tu, wir.

Łamigłówka.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Podane wyrazy tak uzupełnić, aby głoski, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko gościa, który niedawno cały świat przejął panicznym strachem.

— ot
— ko
szu —
— wa
— ak
dam —
— uk
— le
sty —
— ew
— ra
igł —
— ga

Logogryf.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd pierwszy poziomy i ukośny z góry na dół dał nazwisko miasta w Szwajcaryi.

□ □ □ □ □ □
— □ — — — —
— — □ — — —
— — — □ — —
— — — — □ —
— — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. ? . 2. Wyspa na morzu Indyjskiem. 3. Miasto w Anglii. 4. Miasto portowe w Austryi. 5. Kraj austryacki 6. Kraj w północnej Ameryce.

Szarada.

Ułożyła Karolina O. Dąbrówka.

Pierwsza i trzecia, to wielka siła,
Druga i trzecia nikomu niemiła,
A każdy obraz dużo więcej warta,
Gdy go ozdobi piękna trzecia czwarta.
Lecz największej ciekawości
Mieści się w całości.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Janiny Peteńskiej*: **Na falach życia.**

Właściciel i wydawca Stanisław Lipiński Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.